Nr. 266. Lwów — Środa dnia 18 Listopada. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla handlów, edytorów i koncertów, wszelkie wypisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct.; w Niemczech 1 „ 50; w innych państwach 2 „ —. Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct. W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo tłustym petitem po . . . . . . 3 ct.; tłustym garmondem po . . . . . . 5 ct.; Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . 6 ct.

Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 50 ct. Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . . 20 ct. Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9. Ogłoszenia nad przeglądem politycznym [illegible] od wiersza.

Dziś:	św. Ottona Opata	Pawła Arch.	Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45	Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.	Wschód słońca g. 7 m. 19	Długość dnia g. 8 m. 53
Jutro:	św. Elżbiety Kr. w.	Jerona			Zachód „ „ 4 „ 12	Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Fiasco pomysłów socyalistycznych.

Wszystkie urządzenia, utworzone w ostatnich latach dla zabezpieczenia robotników od nędzy, przechodzą jeszcze przez okres próby, której rezultaty wywołują poważne zarzuty przeciw tym urządzeniom i już domagają się ich reformy. Tak w Austryi zamierzono zmienić statut kasy chorych, a w Niemczech spostrzeżono z przerażeniem, że dopłaty ze skarbu państwowego na fundusz emerytów i kalek rosną w miliony, co jest niespodziewanie wielkim ciężarem dla państwowego budżetu. Najgorsze jednak rezultaty dała próba zabezpieczenia robotnikom utrzymania na wypadek bezrobocia. Zrobiono tę próbę w Szwajcaryi, gdzie przed dwoma laty socyaliści rozwinęli ogromną agitacyę za ustawowem uznaniem „prawa do pracy“ — i dość łatwo zebrali 50 tysięcy podpisów pod wezwaniem do Rady Związkowej, aby tę sprawę oddała pod powszechne głosowanie obywateli, czyli pod referendum. Szwajcarska konstytucya orzeka, że wniosek podpisany przez 50 tysięcy obywateli, musi być oddany pod referendum i jeśli przez nie będzie przyjęty większością głosów, to staje się ustawą, choćby to się sprzeciwiało przekonaniu rad kantonalnych i rady związkowej. Ustawowe uznanie „prawa do pracy“ miało, zgodnie z wnioskiem socyalistów, pociągnąć za sobą dla państwa obowiązek dostarczania robotnikom roboty, odpowiedniej ich zdolnościom, albo też utrzymywania ich dopóty, dopóki nie znajdą zajęcia. Referendum wypadło niepomyślnie dla projektu socyalistów: nietylko w kantonach przemysłowych, ale także w rolniczych, większość oświadczyła się przeciw „prawu do pracy“, jako przeciw pomysłowi, który na społeczeństwo nakładał ciężki obowiązek bez żadnych korzyści, a robotników czynił warstwą niejako uprzywilejowaną. Jedynie w gminie miejskiej St. Gallen wniosek socyalistów uzyskał większość i tam też po odrzuceniu projektu przez referendum, postanowiono na własną rękę wypróbować to urządzenie, wszelako z praktycznemi zmianami. Nie szło już o „prawo do pracy“, jeno o proste zabezpieczenie robotnikom utrzymania na wypadek, gdy bez własnej winy stracą robotę i zarobek. W maju roku 1894 uchwaliła rada gminna statut takiej asekuracyi, obowiązując do udziału w niej wszystkich robotników, którzy nie mają własnych zawodowych związków, dających utrzymanie swym towarzyszom, pozbawionym zajęcia. Tak od tej obowiązkowej asekuracyi uwolniono drukarzy, woźnych, listonoszów, robotników kolejowych, dorożkarzy i jeszcze niektórych innych robotników, którzy albo mają własne asekuracyjne związki, albo pracują w takim zawodzie, w którym zajęcie się traci tylko z własnej winy, tacy zaś, wedle statutu, uchwalonego przez radę gminną, nie zasługują na asekuracyę. Dalej statut postanawiał, że zapomogi mają wyłącznie na celu zabezpieczenie od nędzy rodziny robotnika, a zatem kto nie ma roboty tylko przez dni pięć, ten nie może otrzymać zapomogi; nie można jej również otrzymywać dłużej jak przez dni 60 z rzędu. Zarząd kasy zapomogowej prowadzi magistrat darmo i również bezpłatnie utrzymuje biuro stręczenia roboty, a nadzór nad obu instytucyami należy do komisyi z dziewięciu członków, z których dwaj są członkami rady gminnej, dwaj delegatami władzy kantonalnej, a pięciu wybierają asekurowani robotnicy. Każdy z nich obowiązany jest płacić do kasy pewną kwotę: kto dziennie zarabia 5 fr., ten płaci tygodniowo 30 centymów i w razie utraty zajęcia otrzymuje po 2 fr. 40 centymów; zarabiający dziennie 4 franki, płaci tygodniowo 20 centymów i otrzymuje prawo do zapomogi, wynoszącej po 2 fr. 10 centymów; wreszcie ten, co zarabia po 3 fr. dziennie, składa do kasy raz na tydzień 15 centymów i przez czas przymusowego bezrobocia dostaje dziennie 1 fr. 80 centymów. Gmina ze swych funduszów dopłaca kasie rocznie 2 franki na każdego asekurowanego. Uchwalono nadto, że za nieregularne płacenie tygodniowych wkładek do kasy robotnicy będą karani grzywną 25 franków, albo pięciu dniami aresztu. Do kasy musi należeć każdy robotnik, niezabezpieczony inaczej, zarabiający nie więcej jak 5 frank. dziennie i przebywający w gminie nie króciej jak pół roku. Po założeniu kasy przez pierwsze półrocze zapomogi nie będą wypłacane.

Taki oto statut uchwaliła rada gminna St. Gallen, a zatwierdziła go rada kantonalna. W lipcu przeszłego roku kasa powstała, a od 1-go stycznia r. b. poczęła wypłacać zapomogi. Zapisało się do niej 7 pomocników aptekarskich, 5 fotograficznych, 4 nauczycieli muzyki, 4 fryzyerów, 1 optyk, 1 nauczyciel pływania, reszta zwyczajni robotnicy dzienni, razem 4220 osób. Pomimo grzywn, których niepodobna było zrealizować i trzeba je było zamieniać na areszt, wkładki płacono bardzo nieregularnie. Natomiast odrazu po pierwszym stycznia zażądało zapomogi mnóstwo osób. Korzystało z niej 420 osób, czyli 10% asekurowanych; w ich liczbie było 71 malarzy pokojowych, 14 komisantów sklepowych, 18 tragarzy, 47 murarzy i 205 robotników rolnych. Przez dni 60 dawano zapomogi 77 osobom, przez 59 dni 16 osobom, przez 58 dni 40 robotnikom, przez miesiąc, lub trochę dłużej, albo króciej korzystało z zapomogi 76 osób, a przez 5 dni — 10 robotników. Wydano na nich wszystko co było w kasie, mianowicie 23.504 franki. Rezultat tej próby jest zatem fatalny, ponieważ nie było w tym czasie ani wojny, ani głodu, ani żadnego przesilenia w handlu lub przemyśle. Życie szło regularnym trybem, a jednak oszczędności 4220 osób i dopłatę gminną, wynoszącą za cały rok 8440 fr., zjadło 420 osób.

Władza kantonalna zamianowała komisyę dla zbadania tej sprawy, a referat komisyjny ogłoszono przed czterema dniami. Otóż badania wykazały, że wszyscy ci, którzy korzystali z zapomogi, są ludźmi, nieumiejącymi nigdzie długo się utrzymać i że pobieranych zapomóg nie dawali swym rodzinom, lecz przesiadywali w szynkach. Biuro stręczenia pracy nie mogło znaleźć dla nich zajęcia, bo albo ofiarowana robota nie odpowiadała ich zdolnościom, albo pracodawcy nie chcieli ich przyjąć. Z działalności kasy widać, że była wśród tych robotników tendencya korzystania z maksymalnej liczby dni, podczas których mieli prawo do zapomogi, a zatem woleli próżnować, niż brać się do pracy. Jednak komisya proponuje prowadzić próbę dalej, bodaj przez pół roku, ale zmienić statut w ten sposób, iżby robotnicy asekurowani mieli prawo wykluczać od udziału w kasie zapomogowej wszystkich tych towarzyszy, których obyczaje są niepewne, oraz zmniejszyć kwoty zapomogowe.

Nam się zdaje, że najwłaściwiej byłoby podzielić robotników na grupy podług zajęcia, bo wtedy łatwiejsza jest kontrola nad każdym, który zechce żyć kosztem kasy. Asekurowanie się na wypadek przymusowego bezrobocia jest pomysłem pożytecznym, ale nie powinno być rodzajem premii dla ludzi złych skłonności, dla próżniaków i letkiewiczów, niedbających o swe rodziny i o własną przyszłość. Takich ludzi powinny urządzenia społeczne przymuszać do pracy i do porządnego życia, a nie wspierać ich narowów.

Międzynarodowe sądy rozjemcze.

Zwolennicy załatwiania sporów międzynarodowych za pomocą sądów polubownych święcą tryumf. Nadeszła właśnie wiadomość, że taki sąd wydał wyrok w zatargu Anglii z Wenecuelą o terytoryum graniczne, na którem niedawno znaleziono obfite pokłady złota, co właśnie spowodowało Wenecuelę do podniesienia pretensyi do tej ziemi, będącej w posiadaniu angielskiem od początku bieżącego stulecia. Wiadomo, że hołdując doktrynie Monroego „Ameryka dla Amerykanów“, Stany Zjednoczone wmięszały się do tego zatargu i z łona swego senatu, oraz izby reprezentantów wybrały członków rozjemczego sądu, na który Anglia chcąc nie chcąc musiała przystać, choć się zastrzegła, iż wyrok przyjmie w takim jeno razie, jeżeli będzie udowodnione, że istotne jurydyczne motywy, a nie doktryna Monroego kierowała sądem. Ze swej strony Wenecuela bez zastrzeżeń zgodziła się na wyrok rozjemczego trybunału. W ten sposób Stany Zjednoczone niejako się narzuciły na pośrednika między jednem z państw amerykańskich a jednem z zamorskich i po tym sukcesie politycznym, o który im, jak się zdaje, szło najwięcej, pozostawiły sądowi swobodę rozstrzygnięcia sprawy zgodnie z pojęciami jurydycznemi. Sąd wybrał się najpierw do Madrytu, a potem do Hagi, gdzie w archiwach studyował przeszłość spornego terytoryum, kiedy ono dawniej należało do Hiszpanii, a później do Holandyi, od której lat temu siedmdziesiąt kilka przeszło na własność Anglii. Nareszcie po długiem wertowaniu aktów, sąd orzekł teraz, że chociaż podczas przechodzenia spornego terytoryum z rąk holenderskich w angielskie Wenecuela podniosła swe prawa do tej ziemi i chociaż później nie uważała swej granicy z posiadłościami angielskiemi za uregulowaną, jednakże owo sporne terytoryum należało przez lat pięćdziesiąt do Anglii niepodzielnie i bez zarzutów ze strony Wenecueli. A co przez dwa pokolenia tworzy czyjąś niesporną własność, to już powinno być uważane za nabytek prawny. Na tej podstawie sąd przyznał Anglii sporną ziemię, z wyjątkiem małych nadgranicznych kawałków, na które w ostatnich 50-ciu latach Wenecuela czyniła najazdy i które powinny do niej odejść, aby granica biegła wzdłuż rzek i grzbietu górskiego. Nie ulega wątpliwości, że Anglia przyjmie ten wyrok, aby raz na zawsze pozbyć się sporu z Wenecuelą, przyjmie tem chętniej, że cała okolica z pokładami złota pozostaje przy niej. Oczywiście Wenecuela musi wyrok przyjąć, bo się z góry zgodziła na jego brzmienie.

W ten sposób jeden zatarg międzypaństwowy został usunięty wyrokiem sądu rozjemczego. Jest to tryumfem idei sądów polubownych. Lecz jeszcze ważniejszem jest, że ów sąd jednocześnie orzekł, a do aktu przygotowanego do podpisu rządowi londyńskiemu, waszyngtońskiemu i karakaskiemu orzeczenie to dołączono, iż odtąd wszystkie spory, jakie mogą powstać między temi państwami, będą rozstrzygane przez trybunały rozjemcze. Ważne tu naturalnie tylko to, że dwie takie potęgi, jak Anglia i Stany Zjednoczone, zwiążą się podobnem postanowieniem. Lecz od postanowienia do jego wykonania droga ogromnie daleka. Łatwo jest załatwiać sądem rozjemczym spory o rzeczy stosunkowo małej wartości, o które nie warto wojować. Ale przypuśćmy, że istniejąca w Stanach Zjednoczonych pretensya do angielskiej Kanady tak się rozpowszechni i ogarnie opinię publiczną, iż powstanie z tego zatarg z Anglią, czy i wówczas rząd londyński zgodzi się na sąd rozjemczy? — bardzo wątpimy. Bo kto w obronie całości swego państwa nie chce użyć „ostatnich argumentów“, jakimi są orężne zapasy, ten nie wart politycznej samoistności.

Korespondencye.

Wiedeń, 12 listopada.

W ostatniem dziesięcioleciu produkowała Galicya przeciętnie na rok 3,600.000 centnarów metrycznych pszenicy i 4,500.000 centnarów żyta; łatwo tedy obliczyć, co dla kraju naszego znaczy podniesienie cen tych dwóch tak ważnych produktów rolniczych. Nie mamy jeszcze cyfr przedstawiających wyniki ostateczne zbiorów tegorocznych, ale choćbyśmy mimo urzędowo stwierdzonego faktu, że żniwa w Galicyi tego roku należą do najlepszych, jakie miała ona kiedykolwiek, przyjąć chcieli tylko cyfry przeciętne ostatniego dziesięciolecia, to za samą pszenicę (dzięki tylko wyższe cen) otrzymamy wartość pieniężną okrągło 7 milionów złr., większą niż w latach poprzednich. Śród takich warunków sytuacya na targu światowym jest dla nas nadzwyczaj ważną. Rolnicy zazwyczaj część swojego zboża sprzedają w jesieni, część na wiosnę, aby wyrównać różnice cen. Każdy się dziś jednak pyta, czy nie byłoby najodpowiedniejszem teraz sprzedawać, póki ceny trzymają się wysoko i zbyt jest łatwy. Wprost na to pytanie odpowiedzieć jest trudno, prorokować jakie będą ceny za trzy miesiące może tylko szarlatański ajent giełdowy. Ale rozbierać można wszystkie warunki, jakie składają się na ceny zboża i w końcu dojść do tych drobnych, czy wielkich ostatecznych czynników, od których wszystko zależy, a które tłómaczyć sobie każdy z osobna może jak chce. Ceny zboża spadły głównie w latach ostatnich z powodu konkurencyi Ameryki i Rosyi. Ameryka w ułatwianiu dowozu, w redukowaniu kosztów transportu doszła do trudnych do uwierzenia granic. Jeszcze w roku 1873 opłacano za przewóz centnara metrycznego pszenicy z New-Yorku do Liverpoolu blisko jednego dolara; dziś płaci się ledwie jedną piątą część tych kosztów, tj. 17—20 centów. (40—50 centów waluty austryackiej). Ile możności starała się Rosya naśladować tę metodę zza oceanu, obniżając taryfy kolejowe, popierając towarzystwo żeglugi morskiej, a nadto użyczając łatwego i bardzo taniego kredytu swoim rolnikom.

Obok Rosyi i Ameryki kraje półwyspu Bałkańskiego, Egipt, Indye, a najwięcej Argentyna dowozem swym stanowczo wpływały na cenę produktów rolniczych. Hyperprodukcyi zboża nigdy nie było. Owszem, gdyby Rosya, Indye, Egipt, kraje bałkańskie konsumowały w stosunku do swej ludności tyle i tak dobrego ziarna, co np. Anglia lub Francya, a choćby tyle tylko, co Niemcy, zabrakłoby czasem produktu nawet w samych krajach eksportujących.

Wielkie potrzeby państwowe, wyższe wymogi wzrastającej cywilizacyi i wzmagające się wraz z nią zapotrzebowanie angielskich fabrykatów tkanin i żelaza, francuskich wyrobów galanteryjnych i niemieckich ich naśladownictw, wypędzają zboże z terytoryów mniej nawet ucywilizowanych. Ludzie jedzą mniej a płacą tem, co ustom odejmą, za ubiory obce, narzędzia, no i koszta administracyi państwa. Złączona tysiącznymi węzłami grupa pośredników handlu zbożowego, domy komisowe, giełdy, młyny, a po części i towarzystwa transportowe w każdym kraju jeden tylko mają cel wywierania nacisku jak największego na ceny produktów rolniczych. Wie o tem każdy dobrze, że zdolność konsumcyi pszenicy i żyta wzrasta w prostym stosunku do zniżki cen. Zniżka cen zatem jest nowym czynnikiem ożywienia transportów, jest bodźcem do częstszych tranzakcyi i środkiem nowych zarobków. Niemcy np. w ciągu ostatnich 6 lat powiększyły konsumcyę pszenicy z 4ech na 14 milionów centnarów. Kraje, które zboże sprowadzają, Niemcy, Francya, Anglia, Belgia, Holandya, to kraje fabryczne, lub przeważnie fabryczne. Chcą one jak najwięcej produktów rolniczych otrzymywać za swoje fabrykaty. W samych tych jednak krajach, a zwłaszcza we Francyi i w Niemczech, urósł potężny sprzymierzeniec importowi zboża w rolnikach własnych tych krajów. Ceny zboża regulują się bowiem na targach głównych dla całego świata. Jeśli w Berlinie cena za amerykańskie zboża podnosi się lub spada, to w ostatniej kresowej mieścinie galicyjskiej odczuwa to każdy mały handlarz a za nim rolnik. Niemieccy i francuscy rolnicy domagają się ceł ochronnych. Nie wywalczyli ich i nie wywalczą tak łatwo, gdyż wielka część ludności żąda taniego chleba. Ale nadużyciom giełdowym, robieniu sztucznemu cen położono koniec w Niemczech i pokaże się niezadługo, że droższe ceny ziarna bardzo mało tylko wpływają na cenę chleba, że co najwięcej zmniejsza się tylko zysk młynarza, handlarza mąki i piekarza. Tendencya nie oddawania dalej zboża za bezcen (po prostu ledwie za koszta produkcyi) zrodziła się równocześnie w Ameryce i w Rosyi i silnie poparła dążenia rolników w krajach importujących. Dzięki już tym ogólnym prądom w handlu zbożowym, można było przepowiadać ciężką walkę między konsumentami a producentami, walkę, która dla strony silniejszej, dłużej mogącej wytrzymać, skończyć się musiała zwycięstwem.

Przyszły jednak w pomoc rolnikom nadzwyczajne jeszcze okoliczności. Rosya tego roku ma sprzęt o 20 procent mniejszy, Rumunia o 25 proc., Ameryka wedle najpomyślniejszych obliczeń o 10 proc., wedle innych o 20 procent mniejszy, Indye mają nieurodzaj niebywały i w kilku prowincyach taki niedostatek, że kilkunastu milionom ludzi grozi śmierć głodowa. Hiszpania i Portugalia mają tak słabe żniwa, że sprowadzić muszą do 7 milionów centnarów zboża — tak, że gdyby nawet prawdą było, iż Francya i Niemcy mają żniwa nie gorsze, niż zeszłoroczne a Anglia lepsze nieco, to zwiększony import Hiszpanii samej przeważy te dodatnie pozycye. Z Ameryki wielkie masy zboża iść muszą do Indyi, które przed kilku jeszcze laty wysyłały 14,000.000 centnarów pszenicy do Europy (a w przeszłej kampanii, kiedy sprzęt był też niepomyślny, około 5,000.000 centnarów).

Wśród takich wrogich konsumcyi warunków, w pismach pewnej koteryi stanowczo przepowiadano, że zboże musi spaść w cenie. Jeszcze w sierpniu b. r., cena pszenicy z dostawą na październik, trzymała się przy 6.5 zł. Jeśli taki fakt nie dowodzi jasno tendencyi spekulacyi giełdowej i pośredników handlu zbożowego, to chyba żaden już jej nie dowiedzie.

Z początkiem tego miesiąca na nowo rozpoczęto agitacyę przeciw cenom zboża i po obniżeniu ich z końcem października o jakie ośm procent, prowadzono walkę podjazdową telegramami z New-Yorku i Londynu, doniesieniami o lepszych — niż sądzono — zbiorach, o zaspokojeniu potrzeb konsumcyi itd. Jako ciężką zaś broń wytoczono przeciw cenom „zbyt wysokim“ sprzęt niezwykle bogaty — Argentyny. Przedewszystkiem Argentyna od kilku lat ma żniwa coraz mniejsze (w ostatnich trzech latach: 22,500.000 centnarów metrycznych pszenicy, 15,750.000 i 11,125.000). Przypisać tego nie można przypadkowi, ale tylko wstrętowi ludności mającej do wyboru chów bydła, nie wymagający trudu i nieopłacające się a żmudne rolnictwo. W roku 1893 kiedy eksport Argentyny był największym, wynosił on tylko 12,600.000 centnarów pszenicy. Najpomyślniejsze oszacowania sprzętu tegorocznego podają wysokość eksportu na 12,000.000 centnarów metrycznych. Zapomina się jednak, że zboże w Argentynie dopiero kwitnie, że w końcu grudnia rozpoczną się tam żniwa i że przed latym transportów w Europie ztamtąd mieć nie można. Wreszcie cały ten tak wielki eksport Argentyny może posłużyć spekulacyi, ale w konsumcyi całej Europy mało zaważy.

---

48)

PASIERBY

Powieść na tle współczesnem

przez

Anatola Krzyżanowskiego.

(Ciąg dalszy).

Jedno wszakże spojrzenie w rysy ukochanej kobiety, w te rysy greckiej kamei, bólem śmiertelnym przejęte, i w oczy jej, z zabójczym niepokojem ku niemu zwrócone, wskazało Zygmuntowi drogę postępowania.

— Co to znaczy? — pytała raz jeszcze.

— Ależ nic, na Boga — tłómaczył spokojnie. — Prezes, jak wiele osób przedwczesną śmiercią dotkniętych, musiał mieć jakieś niejasne jej przeczucie. Może ów pożar nieszczęsny tak na niego podziałał, może w chwili czarnych myśli lub troski i niepokoju chciał tych słów kilka zostawić pani. Ludzie najzdrowsi spisują nieraz ostatnią swą wolę. I to jest zapewne testament moralny, skreślony dla pani, z racyi... z racyi naszych zaręczyn być może — dodał smutnie.

Dwa skrawki niebios szafiru, uwięzione w źrenicach dziewczęcia, opadły na list w dłoni trzymany.

„Córce mej, Szczęsnej, do przeczytania w rok po mojej śmierci“.

Napis ten, skreślony ręką, zastygłą już na zawsze, siłą magnetyczną wzrok jej przykuwał.

Zwolna wreszcie podniosła go do ust i na literach dobrze sobie znanych złożyła, jak na relikwii, pocałunek czci pełen.

— Testament moralny — wyszeptała. — Snać wiedziałeś, ojcze, że spełnię go, jak przykazanie święte.

— Spełnimy go wspólnie — poprawił, ujmując rączkę jej zlodowaciałą i składając na niej długi pocałunek.

Nie broniła tym razem. Przypuszczenie, iż list ów pisany był w dniu ich zaręczyn, przyjęło się w umyśle Szczęsnej, przypominając jej prawa narzeczonego.

— Dobrze, że mamy tu nie ma — mówiła. — Na widok słów tych, na myśl, że ojciec śmierć przeczuwał, serce by jej pękło.

I w obawie, by ktokolwiek go nie ujrzał, pismo, święte dla siebie, raz jeszcze ze czcią ucałowała i starannie ukryła. Był to skarb, który miał odtąd dodawać jej hartu i siły w dniach próby, w chwilach zniechęcenia lub upadku ducha.

Sięgnęli w głąb szuflady. Obok drobnych pamiątek, wzruszających serce Szczęsnej, bo przemawiających do niej wspomnieniem chwil drogich rodzinie, leżał arkusz osobny, ze spisem wszystkich należności, ciężących na Zaliwcach.

Po zsumowaniu ich, następowały uwagi luźne, jakby dla siebie tylko kreślone.

Zmarły dowodził w nich, iż dalsze upieranie się przy utrzymaniu majątku byłoby rzeczą nielogiczną i niewykonalną. Należało na mocy dobrowolnej umowy, pozostawić go wierzycielom, co spłacając wszystkich, uratowałoby uczciwe imię rodziny. Zaliwscy zaś sami powinniby przenieść się do Warszawy, gdzie starsi łatwiej znajdą zajęcie, a dzieci wykształcenie. To jedyna droga wyjścia i odzyskania spokoju. Gdyby Zygmunt Koniecki nie odebrał w rozbiciu tem całej swej sumy, natenczas on, prezes Zaliwski, zobowiązałby swe dzieci, by kiedyś, po jego śmierci, z premium asekuracyjnego 50.000 rubli wypłaciły mu wszystko, co do grosza, choćby nawet całe 15.000 rubli, bo i tak pozostałoby im jeszcze trzydzieści pięć tysięcy, a więc fundusz dostateczny do zapewnienia względnego spokoju i dobrobytu.

Były to na pozór luźne, tylko dla siebie kreślone uwagi. Bólem jednak rozegzaltowany a do fanatycznej wiary w ojca przyuczony umysł Szczęsnej widział w nich wskazówkę, z góry idącą, rozkaz nieodwołalny, bo ostatnią wolę zmarłego, wypadkowym sposobem na piśmie pozostawioną.

— Teraz — mówiła — mamy nareszcie dłonie rozwiązane. Wiem, że mama, przeczytawszy to, złoży wszystko w ręce prawników, poczem pozostanie nam tylko pożegnać się z mogiłą ojca i wyjechać ztąd na zawsze.

— A ja? — podjął Koniecki.

— Pan przyjedzie za nami.

— Czy nie lepiej byłoby, abyśmy tu, w Zaliwcach, gdzie cię poznałem po raz pierwszy, przyszłość naszą na zawsze połączyli? Po co przerzucać się w inne światy, po co narażać się na łzy i przejścia bolesne, gdy czeka cię, ukochana, dach skromny wprawdzie, lecz cichy i miłością mą opromieniony. Tam, idąc ku nieznanemu zakresowi działania, napotkasz tysiące cierni i upokorzeń. Tu, nie wyjdziesz na chwilę z kół ci pokrewnych, otoczona zaś opieką ramion moich, odpoczniesz po wszystkich przejściach bolesnych, niosąc mi wzajem szczęścia promyk.

Długie jej rzęsy opadły, na ustach błądził uśmiech rozmarzenia.

— Wszak i mnie się należy cząsteczka myśli twych i uczuć. Patrz, od chwili ciosu tego, wydziedziczony z nich jestem zupełnie, a sercu memu krzywda się dzieje.

Wyciągnęła ku niemu rączki obie; on przysunął się, a ujmując je, w głąb źrenic jej patrzył.

— Dzieje mi się krzywda — powtórzył. — Boginka moja nie ma już dla mnie ani jednego spojrzenia, chociaż wie, że spojrzenie to jest mi odblyskiem nieba, promieniem ciepła i światła, niezbędnie do istnienia potrzebnym.

— Dla pana będą mieć życie całe; ojcu zaś memu należały się chwile obecne, ostatnie, jakie mu poświęcić mogłam. Wszak jemu nigdy i niczem nie zdołam już uczuć mych okazać.

— Prawda. Nie byłem też zazdrosny o chwile te; przeciwnie, za łzy twe czyste, za głębię uczucia, kocham cię stokroć silniej. Dziś jednak, Szczęsno, chciałbym cię wyrwać z zaczarowanego koła i dlatego upominam się o własną cząstkę szczęścia. Chodź do mnie, najdroższa... Niech rodzina twa, opuszczając Zaliwce, nie uwozi skarbu mego na kraj świata.

Kobieta poruszyła się żywo. Przed rozmarzonemi jej oczami stanęło surowe widmo obowiązku.

— Sądzisz pan, że pozwoliłabym matce mej samej wyjechać? Ależ to byłoby bezlitosne z mej strony. Jest chora, złamana, sama jedna, z dwojgiem dzieci bezradnych. Takie nagłe przerzucenie się w warunki jej nieznane, nieosłodzone moją obecnością i pomocą, o śmierć by ją przyprawić mogło.

— Szczęsno, moja Szczęsno...

— Wszak i tak przyszłość nasza lepiej się przedstawia — mówiła z bladym uśmiechem — nie grozi jej bowiem finansowa ruina. Gdy pan odbierzesz całą należność, gdy mama zaaklimatyzuje się w mieście, wtedy...

— Szczęsno, dlaczego mię tak ozięble „panem“ nazywasz?

— Wtedy przyjedziesz po mnie, Zygmuncie.

Opuścił głowę, bo przypomniał sobie, że w rzeczy samej nie posiada dotąd dachu, pod który mógłby ją wprowadzić.

Przeczuwszy myśl tę smutną, pospieszyła ją rozproszyć.

— Nie chciałabym zresztą — mówiła słodko — abyś mię zabierał ztąd, z pośród fałszywych blasków i tchnienia niedoli. Niech nie wnoszę cienia jej w przyszłe nasze życie, niech ci nie będę widmem smutku i kulą u nogi. Wiesz, ukochany, ta suma asekuracyjna, te pieniądze ohydne, wydają mi się nieledwie okupem za śmierć ojca i, gdyby tu o mnie tylko chodziło, gdyby one nie były zwrotem własności twej oraz zabezpieczeniem bytu mej matki, zrzekłabym się natychmiast owej nędznej garści złota. Wolałabym pracować na nich.

— Tego ci nie wolno zrobić, ze względu na przyszłość ich i na ostatnią wolę ojca. Co zaś do pracy twej, patrz, czy te lilipucie rączki, które mi już na własność oddałaś, stworzone są do niej! Nie: jestem egoistą, ale wolę, niech czarodziejskie ich dotknięcie spędza lepiej troskę i smutek z mego czoła, niech je wieńczy miłością, wzamian za pracę, którą ja dla ciebie podejmę.

— Weź je przynajmniej czyste i wolne od wszelkich zobowiązań z Zaliwiec — mówiła, nie broniąc pocałunków, jakiemi obsypywał paluszki jej cieniutkie, lekko przy paznogciach zaróżowione.

— A kiedy wziąć mi je pozwolisz?

— Gdy tylko odzyskasz — stosownie do woli ojca mego — całą twą należność, a mama zainstaluje się w mieście i oswoi trochę z położeniem. Czy sądzisz, Zygmuncie, że i mnie nie pilno do tego ukojenia, do tej ciszy, jaką w miłości twej znajdę? Jestem jak ptaszę bez gniazda, burzą ścigane, które widzi wprawdzie port bezpieczny, lecz mocą prądu miotane, wzlecieć do niego nie może.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z izby sądowej.

Kraków 16 listopada.

(*Proces prasowy.*)

Dziś rozegrał się przed tutejszą ławą przysięgłych proces przeciw redaktorowi antysemickiego dziennika *Głos Narodu*, panu Kazimierzowi Ehrenbergowi, oskarżonemu o występek z §§. 491 i 493 u. k. Mianowicie podczas akcyi przedwyborczej na radnych miasta Krakowa p. Ehrenberg umieścił w redagowanem przez siebie piśmie artykuł, w którym proponowanych przez pewne grono wyborców profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Napoleona Cybulskiego i dr. Odona Bujwida nazwał dwoma bezwyznaniowcami i dodał, że nazwiska ich nie powinny figurować na żadnej „uczciwej" liście, co mogło ich poniżyć w opinii publicznej i podać ich w publiczną pogardę.

Po przeczytaniu aktu oskarżenia i inkryminowanego artykułu, przesłuchano p. Ehrenberga. Nie poczuwa się on do winy i twierdzi, że bezwyznaniowość nie może być uważaną za obrazę honoru na zasadzie obowiązujących w państwie ustaw. Osobiście zna obwiniony prof. dra Cybulskiego, ma szacunek tak dla niego, jak dla profesora Bujwida. Obowiązkiem publicystycznym oskarżonego było przestrzedz wyborców przed ich kandydaturami.

Przewodniczący radzca Stebelski zapytuje: Czy pan ma podstawę, po za stanowiskiem publicystycznem, do twierdzenia, że zarzut bezwyznaniowości polegał na jakichkolwiek danych?

Obwiniony: Niewątpliwie. Czytałem książkę X. Gabryla, który twierdzi, że prof. dr. Cybulski w swojej „Fizyologii" stoi na stanowisku materyalistycznem, a więc bezwyznaniowem. Co do prof. Bujwida, to brał on udział w ruchu pozytywistycznym warszawskim i pozostawał w stosunkach z p. Świętochowskim; miał nawet jakiś odczyt, o którym *Rola*, pismo antysemickie, twierdziła, że w tym odczycie były znamiona bezwyznaniowości. W kołach katolickich Warszawy dziwiono się, — gdy senat akademicki powołał prof. Bujwida na katedrę. Co do zarzutu wreszcie, że oskarżony użył wyrażenia, iż nazwiska obu oskarżycieli na żadnej „uczciwej" liście znajdować się nie powinny, podnosi obwiniony, iż oskarżenie tendencyjnie pomija wyraz „chrześcijański", albowiem w artykule napisano, iż nazwiska ich nie nie powinny się znajdować na żadnej „uczciwej chrześcijańskiej" liście; wyrażenie „uczciwej" jest tu użyte w znaczeniu politycznej uczciwości; to znaczy n. p. że lista żydowska w Wiedniu byłaby politycznie nieuczciwą, gdyby zawierała nazwiska n. p. Luegera i innych antysemitów.

Na żądanie obrońcy oskarżonego, dr. Leopolda Caro, odczytano następnie protokolarne zeznania nieobecnego na rozprawie prywatnego oskarżyciela, dr. Cybulskiego. Oświadcza on tam, że z pozytywistami warszawskimi nie miał żadnych stosunków, że jest katolikiem, a w życiu publicznem, prywatnem, jakoteż w pracach swych naukowych, nigdy nie występował przeciw religii katolickiej.

Po zaciętej polemice dr. Caro, jako obrońcy oskarżonego i dr. Abłamowicza, upełnomocnionego oskarżyciela, co do odczytania niektórych ustępów z „Fizyologii" dr. Cybulskiego, trybunał uchwalił pójść za wnioskiem dr. Caro i ustępy te odczytać. Odczytano mianowicie ustępy, traktujące o znaczeniu półkul mózgowych, kory mózgowej, ruchach serca, ośrodkach odruchowych rdzenia i o śmierci, dowodzące, że autor zajmuje tam stanowisko materyalistyczne.

Trybunał przedstawił następnie przysięgłym jedno główne i jedno dodatkowe pytanie co do winy oskarżonego, poczem do ostatecznych wywodów zabrał głos oskarżyciel, dr. Abłamowicz, dowodząc, że liczne zaczepki *Głosu Narodu* już po wytoczeniu procesu czyniły na nim wrażenie, jakoby redaktor tego pisma chciał koniecznie skierować proces na drogę religijną lub polityczną i wywołać mniemanie, że pada ofiarą liberalnych sprzysiężeń. Znaczenia takiego przypisywać procesowi jednak niepodobna, bo p. Ehrenberg sam nie jest przecież żadnem stronnictwem, a o swych przyjaciołach politycznych nawet nie może dokładnie wiedzieć, bo jako dziennikarz pracował już w pismach rozmaitych, wręcz sobie przeciwnych odcieni, i kto wie, może znajdzie się na stanowisku redaktora innych jeszcze dzienników.

Nie jest to więc sprawa religijna ani polityczna, ale kryminalna. Chodzi tu wyłącznie o zamach na cudzą własność, na cudzą cześć. Zarzucić komuś bezwyznaniowość, znaczy to samo, co zarzucić mu odstępstwo od wiary, od tradycyi, a tłumaczenie p. Ehrenberga co do rozmaitych kierunków uczciwości jest nieuzasadnione, bo zasada uczciwości jest tylko jedna.

Z kolei przemawiał jeszcze obrońca dr. Caro. Podniósł on, że cały zatarg niepotrzebnie dostał się przed sąd, można bowiem było rzecz załatwić za pomocą sprostowania. Roztrząsając istotę znaczenia bezwyznaniowości, twierdzi p. obrońca, że bezwyznaniowość może być szkodliwą społecznie; ale ogólnie większa część przyrodników francuskich i angielskich jest bezwyznaniową, a nawet uważa to za zaszczyt, za najwyższe stanowisko naukowe. Z odczytanych ustępów „Fizyologii" wynika, że sprzeciwiają się one zasadom wszelkiej religii pozytywnej; wynika z nich, że człowiek jest nakręconą maszyną, a my tylko wszystkich kółeczek tej maszyny nie znamy; że jedynie nieśmiertelną jest protoplasma. Zarzut bezwyznaniowości nie może wywołać pogardy, bo w państwie, w którem żyjemy, niestety szkoła jest bezwyznaniową, sądy bezwyznaniowe, najwyższe urzędy dla bezwyznaniowców dostępne, dopuszczalne wygłaszanie zasad bezwyznaniowych. Mimo opinii, jakiej obaj oskarżyciele zażywali, powołano ich na stanowisko profesorów uniwersytetu, nie badając wyznania. Najwyższy trybunał orzekł nadto, że wyraz „ateista" nie jest obrazą honoru. Obrońca wskazuje też przysięgłym, że chodzi tu o obronę wolności prasy, której lekceważyć nie można.

Zabrał wreszcie głos obwiniony p. Ehrenberg. Zaznacza on, że obecny proces jest dla niego nieprzyjemny, ponieważ odrywa go od zawodowej pracy i zniewala go siedzieć na ławie, na której za dni parę zasiędzie podpalacz lub złodziej. Nie napadał na niczyją cześć, bo ten, co napada na cudzą cześć, panie mecenasie (do adwokata Abłamowicza się zwracając) stoi niżej, aniżeli złodziej. Mowca żywi szacunek dla oskarżycieli, dlatego też ten proces jest dla niego nieprzyjemny, jak niemniej dlatego, że dotyka kwestyj religijnych i kwestyj sumienia, usuwających się z pod dyskusyi. Wreszcie nieprzyjemnym jest ten proces dla obwinionego, z powodu zabarwienia politycznego. Obwiniony chce odjąć procesowi tę cechę polityczną, tem więcej, że ze strony przyjaciół oskarżycieli istniał zamiar uczynienia z procesu wielkiego starcia politycznego. Dlatego wpłynęli oni na dr. Greka, że zrzekł się obrony, ponieważ mu przedstawiono, że przyłożenie ręki do obrony oskarżonego byłoby rodzajem politycznego odstępstwa. Oskarżony przyjął na siebie autorstwo artykułu, chociaż napisany był w porozumieniu ze śp. Józefem Rogoszem i innemi osobami; więc — mówi obwiniony — gdybyście panowie mnie zasądzili, część winy spadłaby moralnie na ś. p. Józefa Rogosza.

Obwiniony twierdzi, że miał podstawę przypuszczać, iż obaj oskarżyciele są bezwyznaniowcami i uważał za swój obowiązek przestrzegać przed nimi swoich czytelników; miał nietylko obowiązek, lecz nawet prawo. Oskarżycielom krzywdy nie wyrządził, czci ani dobrej ich sławy nie dotknął, prosi więc o uwolnienie i wzywa sędziów przysięgłych, aby stanęli na straży wolności prasy.

Po *resumé* przewodniczącego i naradzie przysięgłych, którzy na 12 głosów zaprzeczyli 11 głosami przewinieniu p. Ehrenberga, — trybunał ogłosił wyrok, uwalniający oskarżonego od zarzutu występku z §§ 491 i 493 i od wszelkiej kary go uwolnił.

* *

Wiedeń 12 listopada.

(*Znajomości kolejowe*)

Przed sądem tutejszym stawała niezwykła oszustka, która gdyby nie była oszustką — mówiąc słowami Sienkiewicza „mogłaby zostać profesorem psychologii". Nazwisko tej damy jest Józefina Rizanek, liczy ona lat 32, i jest nietylko przystojną ale nadto nader sympatyczną i inteligentną. Terenem jej operacyi były dworce kolejowe. „Ludzie, znajdujący się w podróży" mówiła sobie Józefina Rizanek „są albo weselszymi albo smutniejszymi niż w zwykłych warunkach, a więc lubią się drugim udzielać, a przedewszystkiem mają przy sobie pieniądze". Na tę gadatliwość podróżnych spekulowała głównie Józefina. Codziennie przebywała po kilka godzin w poczekalniach kolejowych gdzie stósownie do okoliczności odgrywała rolę osoby przyjeżdżającej lub odjeżdżającej. Upatrzywszy sobie ofiarę nawiązywała z nią rozmowę, wypytywała o jej stosunki i udawała żywe zajęcie się jej losem. Jeżeli w rozmowie tej podróżny lub podróżna wspominali o swoich krewnych lub znajomych, Rizanek udawała, że je zna i potrafiła mówić o zaletach charakteru owych osób tak zręcznie, że kłamstwo nigdy się nie wydawało. Nagle zauważała Rizanek brak swojej sakiewki i po daremnem przeszukiwaniu kieszeni musiała z westchnieniem przyznać, że jej pieniądze skradziono zapewne podczas natłoku przy kasie. Następowała teraz czuła scena wspaniałomyślności; podróżny lub podróżna ofiarował zakłopotanej damie pożyczkę pieniężną, którą ona zrazu kategorycznie odrzucała ale wreszcie z przezwyciężeniem siebie i z zawstydzeniem przyjmowała, obiecując solennie oddać pieniądze w jak najkrótszym czasie. Ostatecznie pociąg odchodzący z Wiednia nadjeżdżał, zagwizdał i czas było już wsiadać. Rizanek żegnała swojego dobroczyńcę lub dobrodziejkę, dodając: „Proszę tam odemnie pozdrowić pana (panią)..", i tu wymieniała nazwisko jakiejś osoby, o której przedtem rozmawiano. Skoro podróżny stanął już u celu swej podróży i oddawał pozdrowienia od Józefiny Rizanek, zdarzały się komiczne niespodzianki. I tak np. jakiś lekarz prowincyonalnego miasta — dowiedział się, że jego siostra mieszkająca we Wiedniu odmłodziła się w cudowny sposób. Jego siostra mianowicie była poważną 65 letnią matroną, tymczasem przybyły do lekarza w odwiedziny z Wiednia podróżny zaręczał, że ją spotkał na dworcu, i opisywał ją jako młodą damę o czarującem obejściu. Była to zaś Józefina Rizanek, która po zawarciu chwilowej znajomości z podróżnym przedstawiała mu się była jako siostra owego lekarza. Także podróżnych przybywających do Wiednia otaczała Rizanek sympatyą ofiarując im dobrowolnie towarzystwo przy zwiedzaniu osobliwości miasta.

Nareszcie pośliznęła się noga pomysłowej oszustce. Postawiono ją przed sąd i skazano na 18 miesięcy więzienia.

Mały Fejleton.

Po co taka rodzina?

Pytanie Adolfa Dygasińskiego.

Pankracy Cieplik, niegdyś organista, później grajek w knajpie na Piekarskiej, używał życia. Marne było jego używanie! Goście dawali „co łaska na muzykę", a on przepijał, co zarobił. Gdy wrócił do domu, żona nie chciała mu drzwi otworzyć. Prosił, zaklinał, molestował i w końcu drzwi się otwierały. W ponurej suterenie, na korku pływający knot rzucał bladawe światło, oświetlając pięć głów dzieci różnej płoi, chrapiących w jednym kącie i nakrytych spódnicą matki.

— Bój się Boga, człowieku, co ty robisz?! — wołała żona, chwytając się obiema rękoma za głowę. — Lepiej nas pozabijaj wszystkich! Złamanego grosza nie mam przy duszy, dzieciska głodne spać poszły! Ja zasnąć nie mogę, myśląc, co będzie jutro... O ja nieszczęśliwa!..

I Cieplikowa płakać zaczęła.

Z błędnem okiem, rozczochranym włosem, opiłą twarzą, grajek stanął na środku izby, popatrzał dokoła: płacz żony, jakieś złowrogie chrapanie dzieci, słaby blask kaganka, mrozem ścięły mu duszę.

— Słyszysz, pijaku, Malcia ma krup!.. Lekarstwa nie mam za co kupić!.. Staś chodzi do szkoły bez butów prawie, zaziębił się dzisiaj.. Mania nie może chodzić do szycia, bo z niej spadła jedyna sukienka. Sprzedałam ostatnią poduszkę przedwczoraj, a dzisiaj od rana nic nie jedliśmy i nie ma za co w piecu napalić... O ja nieszczęśliwa!..

Rozpłakał się Cieplik, całował żonę, ściskał, błagał o przebaczenie, mówiąc:

— Łajdak jestem, dzieciobójca! Zlituj się, przebacz; jutro wrócę punkt o północy, cały zarobek przyniosę do domu!

— Oj; nie wrócisz, nie wrócisz! Co dzień tak przyrzekasz, a swoje robisz.

— Wrócę, jak cię kocham, żono, wrócę!

— Przysięgnij na dzieci, na Malcię!.

— Jak szczęścia dzieci pragnę, jak Malcię kocham!

I grajek otrzymał przebaczenie żony, począł ją ściskać, całować. Kaganek mignął i pociemniał, mignął znowu i zgasnął. Jedyna chwila szczęścia panowała w suterenie...

Nazajutrz Cieplik powrócił do domu rano i bez pieniędzy. Żona nie robiła mu wyrzutów; ona — niema, w boleści obłąkana prawie, siedziała przy świetle kaganka nad trupem Malci, Nie patrzyli na siebie, nie jednali się ze sobą... Kaganek płonął do południa...

Minęła zima, a Cieplik zawsze rano powracał do domu, powracał bez pieniędzy. Dopóki się w knajpie zapijał, nie pamiętał o niczem, kiedy wracał z knajpy, doświadczał srogich wyrzutów sumienia. Latem jaskółki śpiewem świt witały, a jemu się zdawało, że one do niego mówią:

— Oj! Cieplikn, Cieplikn, jakiż ty nikczemny człeczyna jesteś!.. Dzień w dzień o świtaniu powracasz.. Cieplikn, bić ciebie, bić, bić!..

Na gzemsie domu siedział napuszony stary wróbel, na Cieplika z góry jednem oczkiem spoglądał i świerkał, a pijakowi się zdawało, że wróbel ma do niego mowę:

— Leż, pijanico, leż! Do domu się nazbyt nie spiesz! W domu nędza, dzieci, żony wielki płacz!.. Łotr z ciebie Cieplikn, oj!.. łotr!.. A w domu może śmierć, śmierć, śmierć!..

Zebracze psy obwąchiwały rynsztoki i widząc przechodzącego Cieplika, który esy-floresy nogami wyrabiał po chodniku, zdziwionym a pełnym uczciwości wzrokiem spoglądały nań i zdawały się potępiać jak najwyraźniej postępowanie tego rodzaju. Cieplik stawał czasami naprzeciwko takiego psa, chciał z nim porozmawiać, ale pies odwracał się od niego ze wstrętem i pomrukując w tonie oburzenia, uchodził boczną uliczką.

Koty, czatujące pod mostkami na szczury, zdawały się też dawać Cieplikowi mądrą naukę, jako człowiek, powinien trzeźwo przy pracy czuwać, a co na świecie upoluje, ma nieść do swego rodzinnego gniazda.

Przejeżdżały wiejskie półtoraczne wozy z włoszczyzną na targ do miasta; łby buraków, ogony marchwi, głowy kapusty wyraźnie wpatrywały się w Cieplika i z wozów natrząsały się nad jego marnem życiem.

Toczyły się też żwawo wysokie omnibusy z pieczywem i płótnem kryte bryki z mięsem; ich turkot dobitnie burczał i łajał Cieplika:

— Nie tobie łajdaku, pożywać uczciwe śniadania z darów bożych!.. Nie tobie też jeść obiad, jak przystoi na porządnego mieszczanina!..

W ogóle turkot wozów huczał po bruku, jakby gromy w obłokach, aż skóra cierpnęła na Cieplikn, który słyszał wyraźnie te słowa:

— Bułki, chleby, nabiał, ozory, flaki, głowizna, groch, kapusta... nie dla ciebie Cieplikn, marny Cieplikn!

Te wymyślania istot żywych i nieżywych tak skołatały głowę urżniętemu Cieplikowi, iż, gdy przybywał do żony, był pokorny jak trusia. A żona zawsze płakała, łajała i — biedna, musiała przebaczać.

Tak jak mijały dni i pory roku, tak samo przechodziły lata. Nieszczęście nie ma litości dla trzeźwych, czemużby miało oszczędzać pijaków?

Po Malci, umarł Stasiek. Cieplik pił ciągle. Żona z sił opadała, nie miała zarobku. Cieplik przepijał wszystko co zarobił. Najstarsza Mania przepadła, uciekła z domu.. Cieplik pił ciągle.

— Po co ta rodzina? — woła Cieplikowa w rozpaczy, rwąc sobie włosy na głowie.

Grajek przestał codziennie wracać do domu. Często przesypiał noc w szynku pod ławą, latem — na skwerze. Przychodził co drugi i co trzeci dzień do żony, dzieci. I po co przychodził?... Ciągnął go jednak kąt cieplejszy.

Minęło lat parę, znowu umarło jedno dziecko i jedno tylko zostało z matką. Cieplik pił ciągle. Żona nie robiła mu teraz żadnych już wyrzutów. Nie budziły też jego sumienia ani jaskółki, ani wróble, psy, koty, ani żadne rzeczy. Pił swobodnie i bez skrupułu, pijanym będąc od rana do wieczora, — w stanie czuwania i we śnie. Cieplikowej lżej było; na jedno tylko dziecko musiała pracować. Męża obrzydziła sobie. On stał się brutalnym gburem, używał nowego języka. Kiedy przychodził do żony, łajał ją i zrywał się do bicia. W zimie często poszukiwał u niej schronienia.

Ostatnie dziecię, jedyny ślad rodziny, zachorowało na szkarlatynę. Męczyło się, męczyło i umarło. Był to ośmioletni chłopczyk, syn pijaka, z rysów przypominający ojca, starego Cieplika, a kochanek wielki matki. Uszyła mu białą koszulkę sama, umyła twarzyczkę, uczesała włoski, zapaliła gromnicę, ułożyła martwego na ławie i siadła przy nim, jęcząc żałośnie, a gorzkie łzy macierzyńskie wylewając.

Do strasznie smutnej izby wszedł on, który rodzinę stworzył i zniszczył, wywołał uczucia największej w świecie żywym miłości i uczuciom tym zadał śmiertelne ciosy. Cieplik był pijany, zataczał się, wzrokiem obłędnym spoglądał na zwłoki dziecka, na matkę, pozbawioną prawie czucia. I bydlę, na rzeź gnane, gdy ujrzy rozlaną krew bratnią, pomordowane bliźnie trupy — ryknie ze zgrozy... Wstrząsł się Cieplik, drgnął na widok śmierci ostatniego ze swych dzieci; szukał przyczyny, winowajcy a był przecież tak spodlony, iż w sobie samym nie mógł znaleźć winy... Zdało mu się, że żona jest tu winną. Zrobił jej okropny wyrzut:

— Pozabijałaś mi dzieci!...

Ona odpowiedziała mu spojrzeniem, pełnem pogardy i nienawiści. Kto zna tok ludzkich uczuć, ten wie, iż one szybko zmieniają się jedne na drugie. Cieplik uczuł w sobie szał wściekłości, — zdawało mu się, że powinien być mścicielem martwego dziecięcia.. Przystąpił do matki i nielitościwie bić ją począł. Przy zwłokach dziecka rozległy się okrzyki walczących rodziców; bili się strasznie o zgasłe życie dziecka, po którego śmierci znienawidzili się oboje z całej duszy, bardziej, niż się kochali, dając temu dziecku niegdyś życie.

Przybiegli ludzie i rozdzielili tę parę, która już i tak otrzymała od przyrody rozwód na wieki.

Cieplika chorego na *delirium tremens*, odwieziono do szpitala waryatów.

KRONIKA.

Lwów 17 listopada.

Pogadanki pedagogiczne. Zainicyowane z wiosną bieżącego roku przez Towarzystwo pedagogiczne pogadanki reprezentantów nauczycielstwa i reprezentantów rodzin, a przerwane z powodu wakacyj, rozpoczęły się w sobotę na nowo. Dość licznie zebraną publiczność powitał dyrektor p. Julian Fąfara i udzielił głosu p. Mieczysławowi Baranowskiemu, który obrał za temat do pogadanki sprawę opieki nad uczniami, zaniedbywanymi przez rodziców i nad dziećmi zdemoralizowanemi. W przekonaniu mówcy, tak dziatwa z domów zamożnych, jak i najbiedniejszych wyrobników opieki tej w znacznym procencie nie posiada. Rodzice zamożni — mówił p. Baranowski — oddają dzieci swe osobom obcym na wychowanie, pozbawiając je tem samem owego ciepła rodzinnego, którego dziecku od najpierwszych chwil życia potrzeba. Rodzice zaś ubodzy, dla tego, że pracują przeważnie przez cały dzień poza domem, nie są w stanie opiekować się dziatwą swą jakby należało. Są także i takie dzieci, które — zwłaszcza w wielkich miastach, gdzie zepsucie obyczajów ma szeroko otwarte wrota — nie posiadają wcale rodziców, najczęściej zaś ojca, a o takie dzieci najmniej kto się troszczy. Od wczesnego więc wieku zalegają one ulice, włóczą się wszędzie samopas i bądź to z nędzy, bądź też pociągnięte złym przykładem innych towarzyszy zabaw, wkraczają na drogę występku i wcześnie wchodzą w kontakt z policyą a nieraz i ze sądami nawet. Dla takich to dzieci potrzeba pewnego przytułku, opieki osób dobrej woli, ażeby nie dopuścić do rozpusty i czynów karygodnych. Mówca w podróżach swych miał za granicą sposobność oglądać temu celowi odpowiadające instytucye i pragnie, aby kraj nasz również pomyślał o tworzeniu domów opieki nad dziećmi, nie posiadającemi jej ze strony rodziny. W Niemczech n. p. istnieją tego rodzaju przytuliska, zwane po niemiecku „*Hort*", osobne dla chłopców i osobne dla dziewcząt, gdzie dziatwa pozostawiona z rozmaitych powodów sama sobie, przepędza czas pomiędzy nauką przedpołudniową a popołudniową, otrzymuje posiłek, bawi się pod dozorem przeznaczonych do tego osób, po nauce popołudniowej znów tam powraca i przebywa dopóty, dopóki przełożeństwo nie ma pewności, iż rodzice lub opiekunowie powrócili już z pracy do domu i dziećmi swemi mogą się zająć. Dla opieki nad dziećmi zdemoralizowanemi uznaje mówca potrzebę domów poprawy, w które Austrya niestety nie obfituje. Pożyteczność tych zakładów dowiedzioną jest w innych krajach od dawna. Mówca opowiada między innymi, że pod Zurychem, na wzgórzu Sonnenberg, w domu poprawy, spotkał młodego chłopca, w dodatku Polaka, którego oddano do zakładu za to, iż był nałogowym kłamcą. W Szwajcaryi przeto nawet kłamliwość chcą w dzieciach wytępiać, co zresztą jest bardzo słusznem, bo nawet polskie przysłowie powiada, że „kto kłamie, ten kradnie, a kto kradnie, ten wisi 1 dnie". U nas tymczasem rok rocznie zwiększa się liczba nieletnich przestępców i zbrodniarzy, a według ostatnich zestawień statystycznych, przypada na sto skazańców ośmnastu nieletnich, co bezwątpienia jest faktem przerażającym. Brak zaś domów poprawy naraża młodych zbrodniarzy na obcowanie w kaźniach pospołu ze starymi złoczyńcami z profesyi, to też uczą się w tem towarzystwie, czego jeszcze nie umieli, a gdy tylko ukończą karę, wiadomości nabyte od dorosłych więźniów, szybko starają się zużytkować. Mówca podnosi, że za kilka lat w jednym z podgórskich powiatów Galicyi powstanie dla opieki nad młodzieżą zdemoralizowaną zakład na wzór t. zw. kolonij rolniczych, istniejących w Królestwie Polskiem, gdzie młodzież taka oprócz wykształcenia szkolnego, będzie się trudniła pracą rolną, a jest to jeden z bardzo skutecznych sposobów opanowania złych nawyczek, gdyż praca ręczna, a w szczególności uprawa ziemi i pielęgnowanie roślin zbawiennie wpływają na przytępienie i wyniszczenie zbrodniczych instynktów. W konkluzyi przedstawia mówca zebranym potrzebę zakładania domów opieki dla dziatwy, nieuczęszczającej jeszcze do szkoły, dalej dla dziatwy szkolnej, wreszcie dla rzemieślników, względnie rozszerzenia akcyi Towarzystwa opieki nad terminatorami św. Stanisława Kostki, istniejącego we Lwowie jako oddział Arcybractwa Królowej Korony Polskiej.

W dyskusyi, która rozwinęła się nad referatem p Baranowskiego, a w której zabierali głos pp. Piórkiewicz, Mandel, Stachoń i panie: Bielska, Fruchtmanowa i Mrozowicka, wszyscy mówcy zgadzali się na to, że sprawa wymaga jak najszybszego załatwienia i że mimo braku funduszów dużo dałoby się zrobić przy dobrej woli społeczeństwa. Proponowano oddawać opuszczone dzieci do przytuliska Brata Alberta, tworzyć ogniska opiekuńcze w niezajętych ubikacyach szkolnych, a przy budowie nowych szkół we Lwowie pomyśleć o osobnych na ten cel salach, oraz tworzyć osobne szkoły dla takich dzieci, które obyczajami swemi mogłyby niekorzystnie wpłynąć na niezepsutych współuczniów. Ta ostatnia myśl napotkała jednak na stanowczą opozycyę, gdyż byłoby zbyt upokarzające zarówno dla tej młodzieży jak i dla całego miasta. Postanowiono więc uprosić Towarzystwo pedagogiczne, by energicznie poruszyło wszystkie sprężyny w celu utworzenia przynajmniej tymczasowo dla dzieci, nad którymi rodzice poza szkołą czuwać nie mogą, ogniska opiekuńczego w lokalach szkolnych pod dozorem osób, którym czas zajęciu takiemu pozwala oddać się gorąco.

Za jedną z takich sprężyn które urzeczywistnienie planu mogłyby ułatwić, uznali zgromadzeni prasę, a mianowicie nietylko pedagogiczną, lecz pisma codzienne. My, uznając pożyteczność pogadanek pedagogicznych, śledzimy uważnie ich przebieg i każde humanitarne dążenie jak najchętniej popieramy. W sprawie przeto powyższej wskazać musimy komitetowi, urządzającemu pogadanki, że na pogadance pierwszej z rzędu dr. Godzimir Małachowski podniósł był sprawę założenia t. zw. „związku rodzicielskiego", o czem w swoim czasie obszernie referowaliśmy. Sprawa ta przekazaną została do dalszego traktowania pedagogicznemu Towarzystwu i od tej pory o związku rodzicielskim, który między innemi służyłby także potrzebom opuszczonej dziatwy szkolnej, nic na pogadankach ani w Towarzystwie pedagogicznem nie słychać. Należałoby przeto poinformować się, jak się zapatruje Towarzystwo na projekt związku rodzicielskiego, w jakiem stadyum się sprawa znajduje i odpowiednio do tego postąpić, gdyż inaczej przyzwyczaimy się do rzucania świetnych myśli, snucia najsłuszniejszych projektów, będziemy apelowali do prasy i do społeczeństwa i tak obciążymy tymi planami ludzi, którzy dla dobra narodowego nie znają granic ofiarności, że wreszcie wytworzy się taka różnorodność projektów, dążących do jednego celu, iż zamiast doprowadzić jakąś dobrą rzecz do skutku, doprowadzimy do opuszczenia ramion, do zniechęcenia. Ponieważ sprawa opieki nad opuszczoną młodzieżą przyjdzie najprawdopodobniej jeszcze raz na porządek dzienny pogadanek, sądzimy, że byłoby bardzo stosownem połączyć myśl tę z projektem „związku rodzicielskiego", a niewątpliwie obie te kwestye łącznie załatwić będzie można i lepiej i prędzej i taniej.

Kończąc sprawozdanie z sobotniej pogadanki dodajemy jeszcze, że prezydent miasta dr. Małachowski, który tak żywo zajmował się pogadankami ubiegłego lata, przesłał w sobotę na ręce p. Baranowskiego pismo, w którym winszował nowo rozpoczętym pogadankom pedagogicznym powodzenia i wyraził żal, że pilne obowiązki urzędowe nie dozwoliły mu tym razem na pogadankę przybyć.

Wydział krajowy wystosował do dyrekcyi teatru hr. Skarbka pismo, w którem wypowiada uwagi o dotychczasowej działalności tej dyrekcyi i życzenia na przyszłość. Z pisma tego zacytujemy następujące najgłówniejsze ustępy: „Repertuar przedłożony przez dyrekcyę teatru za czas od 15 września 1896 do 3 stycznia 1897 przyjmuje Wydział z uznaniem do wiadomości wzywając Dyrekcyę, aby zechciała ściśle go się trzymać. Komitet dla nadzoru sceny polskiej stwierdza z przyjemnością, że Dyrekcya dokładała dotychczas wszelkich starań, aby przedstawienia szły równo i składnie, oraz uznaje postęp tak w reżyseryi i w urządzeniu sceny. Co do wyjazdów części personalu teatru na prowincyę, wyraża Wydział krajowy życzenie, ażeby wyjazdy te nie przekraczały pewnych, ściśle oznaczonych granic, tj. ażeby nie narażały sceny stołecznej na brak przedstawień dramatu i komedyi. Jest to zupełnie słuszna uwaga, uwzględnić jednak należy wyjątkowo trudne położenie, w jakiem się teatr obecnie znajduje. Gdyby bowiem nie owe trudne do przewidzenia, wyjątkowe warunki dyrekcyi teatru, nigdyby nawet przez myśl nie przeszło w najlepszym sezonie wysyłać części personalu na prowincyę. Chcąc jednak ratować zagrożoną pozycyę dramatu, była dyrekcya do tego kroku niemal zmuszoną. Lwów jednak na tem mało stracił, teatr bowiem wystawia co tydzień premiery, wznawia dawno nie grane sztuki, a zresztą wycieczki teatru na prowincyę ustaną już za dni kilka.

Również i za zapowiedziane wzbogacenie repertuaru kilku nowemi operami i za wystawienie „Sprzedanej narzeczonej" wyraża komisya dyrekcyi należne uznanie.

Mianowania. Praktykant leśnictwa Wincenty Mazurkiewicz otrzymał nominacyę na inspekcyjnego adjunkta leśnictwa.

Trybunał kasacyjny zatwierdził wyrok samborskiego sądu przysięgłych, uwalniający Jana Dorosińskiego od zarzutu zabójstwa chłopa Irona. Trybunał uznał, że Dorosiński działał z konieczności bronienia własnego życia.

Załamanie się sklepienia Pełtwi przedstawia się jako fakt bardzo smutny i w następstwach swoich bardzo doniosły. Zważyć bowiem należy, że na zasklepioną Pełtew nasypano ziemi nie więcej nad 1½ do 2 metrów, deszczów zaś nie było, więc ziemia ta była pulchną i lekko nałożoną. Otóż przedstawmy sobie, jaki mógł być ciężar spoczywający na każdym centymetrze kwadratowym sklepienia. Był to półtora do dwóch metrów mający słupek lekko nasypanej ziemi, a więc rzecz stosunkowo lżejsza niż np. laska dębowa mająca centymetr kwadratowy średnicy. Mimo to sklepienie nie zdołało tego tak małego ciężaru udźwignąć i runęło w parę tygodni po zbudowaniu. Runęło ono na przestrzeni jakich kilkanaście metrów kw., na dalszej przestrzeni jeszcze trzyma się. ale prosty jest wniosek, iż nie przedstawia najmniejszej pewności, że utrzyma się i wtedy, jeżeli np. na to sklepienie wjedzie fura z wielkim ciężarem, a przecież sklepienie to ma być pod placem otaczającym przyszły teatr, a więc pod placem, po którym będą jeździły wozy, powozy i fury z ciężarami. Wypada więc albo cały dalszy ciąg sklepienia Pełtwy poddać ciężarowej próbie, albo je rozebrać. Nasuwa się następnie pytanie, co robił ten inżynier magistratu, który miał obowiązek nadzorować nad robotą? Po mieście opowiadają sobie, że magistratowi zginęły nagle akta dotyczące prób cementu, przedłożonego przez przedsiębiorcę zasklepienia Pełtwy, oraz same próbki cementu przez magistrat zatwierdzone. Mieszkańcy naszego grodu są bardzo pesymistycznie usposobieni względem gospodarki miejskiej i wietrzą w niej zawsze rzeczy niezgodne z zasadami dobrego zarządu. Być może więc, że ta plotka o zniknięciu owych aktów i próbek cementu jest produktem bujnej wyobraźni, ale co nie jest produktem wcale wyobraźni, to fakt, że gdyby był nadzór rzetelny, uczciwy, sumienny i czujny nad przedsiębiorcą prowadzącym zasklepienie Pełtwy, to nie runęłoby ono tak łatwo.

P. prezydent Małachowski, o którego działalności prezydyalnej mamy dotąd jak najlepsze wyobrażenie, nie omieszka zapewne sprawy tej wziąć energicznie do ręki swej, zasuspendować wszystkich tych urzędników, którzy w jakimkolwiek stopniu są winni wypadkowi i przeprowadzić jak najenergiczniejsze śledztwo dyscyplinarne. Żyjemy w czasach coraz gorszych, ludzi religijnych jest coraz mniej, więc żywiołów rozkładowych coraz więcej, z drugiej zaś strony każdy z nas ugina się pod ciężarem podatków, w liczbie których gminne tworzą część bardzo wielką. Niechże ogół mieszkańców Lwowa nabierze przynajmniej przeświadczenia, że te podatki nie idą na marne i że zarząd miejski pod prezydencyą p. Małachowskiego będzie tak dzielny, że żaden grosz nie przepadnie i że wszelkie usiłowania w celu robienia nadużyć będą zaraz w zarodku tłumione.

Podatek od bicyklów. Ministerstwo skarbu rozporządziło, że pozwolenie na używanie bicykla musi być opatrzone stemplem za 1 złr. Tej samej opłacie podlegać będzie świadectwo uzdolnienia do jazdy na welocypedzie, karta zaś legitymująca cyklistę jako członka stowarzyszenia cyklistycznego musi być opatrzona stemplem za 50 ct. Ostemplowanie tych dokumentów ma nastąpić najdalej do 31 grudnia.

Konkursa rozpisują: Magistrat m. Rzeszowa na posadę drugiego budowniczego miejskiego z poborami 850 złr. Termin do 10 grudnia. — Magistrat miasta Żydaczowa na posadę kasyera miejskiego z płacą 400 złr. Termin do 1 stycznia. Rada szkolna okręgowa w Przemyślu na 24, Rada szk. okr. w Skałacie na 4, a Rada szk. okr. w Tłumaczu na 2 posady nauczycielskie. Termin do 15-go grudnia.

Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie otrzymało wielki medal milleniarny na wystawie w Peszcie, za przedmioty przysłane na wystawę historyczną; jest to najwyższe odznaczenie, jakiem jury wystawowe rozporządzało.

† Emanuel Merl. Piszą nam z Brzeżan: W piątek 13 b. m. odprowadziliśmy zwłoki śp. Emanuela na miejsce wiecznego spoczynku. Wybitna ta postać staruszka znaną była szeroko poza granicami naszego miasta. Jako jeden z najstarszych członków rodziny Merlów przez 40 lat z górą był w Brzeżanach kupcem renomowanej firmy, odznaczającej się rzadką uczciwością. Wykształcony i pełen gorącego serca pokochał duszą wszystko co ojczyste, co polskie. Nic też dziwnego, że imię ś. p. Emanuela i brata jego, zmarłego przed rokiem ś. p. Karola ściśle się złączyło i zrosło z historyą miasta Brzeżan, tak dalece, że nie było sprawy, nie było instytucyi, do którejby zawiązania obaj Merlowie nie dali inicyatywy, a przynajmniej nie przyłożyli swej ręki. W tej pracy nad dobrem miasta nie ulękli się żadnego trudu żadnej ofiary, by zasłużyć sobie tylko na imię prawdziwych synów-obywateli. Cieszyli się też niezwykłem zaufaniem ogółu mieszczaństwa, a wyrazem tego był fakt, iż ś. p. Emanuela przez długie lata darzono godnością burmistrza. Jak wysoko ceniono zasługi zmarłego, wymownym tego dowodem był orszak pogrzebowy, w którym wzięła udział, prócz Rady gminnej, niemal cała miejscowa publiczność, a niejedną łzę szczerego żalu widzieć można było przy wynoszeniu zwłok. Z ś. p. Emanuelem zstąpił do grobu ostatni z mieszczan dawniejszego typu! Cześć jego pamięci!

Przytulisko ubogich dla mężczyzn i kobiet we Lwowie. Bracia Tercyarze św. Franciszka posługujący ubogim, będą kwestować jutro i w dni następne od godziny 10 tej do 1-ej na dzielnicy II giej. Oprócz jałmużny pieniężnej, pożądaną jest stara odzież, bielizna, obuwie i t. p.

Katastrofa kolejowa pod Sokółką. Ofiarą tego wypadku padł — jak już donieśliśmy wczoraj — między innemi także ajent handlowy Andrzej Kleber, który oprócz ciężkich ran na piersiach i nogach, dostał z przestrachu pomięszania zmysłów. Rodzina p. Klebera wytacza wskutek tego dyrekcyi kolei proces o 30 000 rubli tytułem odszkodowania.

Z kolei. Dnia 14 bm. wykoleiła się lokomotywa pociągu mięszanego Nr. 2253 przy przesuwaniu wozów towarowych na bocznym torze w stacyi Kleparów. Wypadek ten oprócz spóźnienia pociągu o godzinę i 43 minuty nie miał żadnych innych następstw.

Samobójstwo na próbę. W Kijowie odebrał sobie życie tymi dniami student wydziału matematycznego, Martynów. Z papierów pozostałych po zmarłym wnosić można, iż na zasadzie wielce skomplikowanych obliczeń przyszedł do wniosku, iż kula rewolwerowa nie jest w stanie przebić niektórych punktów czaszki. Dokonawszy tego odkrycia napisał: „nabijam rewolwer, przykładam do czoła i pozostanę przy życiu“. Nabił więc rewolwer, wystrzelił, ale obliczenia zawiodły, gdyż czaszka prysła w kawały i pozbawiła życia młodego matematyka.

Z poczty. Z dniem 16 b. m. otwartą została w Skołyszynie (pow. jasielski) przy tamtejszym urzędzie pocztowym stacya telegrafu z ograniczoną służbą dzienną.

Kuryer Warszawski redagować będzie od 1 grudnia adwokat Nowodworski, krewny zmarłego niedawno biskupa. Dotychczasowy redaktor *Kuryera* p. Fr. Olszewski udaje się jako korespondent tego pisma do Petersburga.

Królestwo greccy przybyli przed paru dniami do Wiednia, a oto co o ich pobycie tam opowiada jeden z korespodentów:

Królestwo greccy złożyli wczoraj wizytę w Burgu i zabawili przeszło dwie godziny w apartamentach cesarzowej. Następnie udali się na Graben i tam w sklepach jubilerskich porobili znaczne zamówienia. Monarcha Helenów i jego żona, prowadzą tutaj życie czysto mieszczańskie. Chodzą do teatrów, jadają po restauracyach, używają spaceru w Praterze i po ulicach. Przed dwoma dniami weszli do hotelu Sachera i zasiedli przy osobnym stoliku. Sala restauracyjna była przepełniona. Po chwili wszedł jakiś jegomość i widząc puste miejsce obok króla Jerzego, zapytał grzecznie, czy może usiąść.

Z przyjemnością — brzmiała odpowiedź.

Podczas objadu zawiązała się rozmowa. Nieznajomy barwnie opowiadał o stosunkach wiedeńskich i królestwo słuchali go z wielkiem zajęciem.

Gdy podano czarną kawę, król zapalił cygaro i poczęstował drugiem swojego przypadkowego towarzysza, zaręczając, że jego żona znosi dym tytoniowy.

Na odchodnem współbiesiadnik przedstawił się jako właściciel fabryki sukna w Bernie. Król grecki czuł się nieco zaambarasowany, lecz wreszcie wymienił swoje stanowisko.

Oh! pardon! entschuldigen Sie Majestät, ich habe geglaubt, dass ich mit einem Landsmann zu thun habe. Sie sprechen vortrefflich deutsch.

Król się uśmiechnął i podał rękę na pożegnanie.

Samochody w Anglii. I w Anglii zaczyna się dla lokomocyi drogowej nowa era. Podczas gdy we Francyi samochody od długiego już czasu nie są niczem nadzwyczajnem i kursują po ulicach miasta bez wywoływania zbiegowiska, pozostała Anglia, gdzie wszelkie techniczne innowacye tak się łatwo przyjmują, w tym kierunku daleko za Francyą. Powodem tego były rozmaite ustawy, zabraniające tego środka lokomocyi. Ustawy te wydawano ze względu na bezpieczeństwo publiczne. Parowym samochodom pozwolono jechać tylko bardzo powoli, a przed każdym z nich musiał biedz człowiek z czerwoną chorągiewką, aby ostrzegać przechodniów. O elektrycznych samochodach ani mowy nie było. Ale bijąca w oczy praktyczność samochodów zwyciężyła w końcu przeszkody stawiane im przez prawo. W ostatniej sesyi parlamentu angielskiego wniesiono i przyjęto bil zezwalający na używanie samochodów bez tych ograniczeń, które dotąd krępowały prawie zupełnie ich zastosowanie. Bil otrzymał 14 sierpnia sankcyę królowej i w trzy miesiące uzyskał moc obowiązującą.

Z tą samą chwilą rzucili się przemysłowcy angielscy z takim zapałem do tej nowej gałęzi, że dotychczas poświęcono 6 i pół miliona funtów szterl. (około 80 milionów zł.) fabrykacyi samochodów, zwanych tam „Horseless carriages“ (wozy bez koni). Nową epokę w środkach lokomocyi zainaugurowano jeszcze ubiegłego poniedziałku, gdy w uroczystym obchodzie dla lorda majora pośród licznych wozów tryumfalnych znajdował się jeden samochód.

Właściwą jednak inauguracyą był wyścig samochodów, urządzony w sobotę dnia 14 b. m. Wyścig ten odbył się na przestrzeni Londyn-Brighton. O godzinie 11 przed południem wyruszyło około 30 samochodów rozmaitego rodzaju, przy udziale niesłychanej ilości ludzi od startu na placu White Hall. Pierwszy samochód odbył całą drogę, na której przebycie pociąg błyskawiczny potrzebuje jednej godziny a powóz zwykły około 11 godzin, w cztery godziny i przyszedł nieuszkodzony do mety, pomimo mgły i deszczu, padającego przez cały dzień. Tego samego dnia po północy zaczęły już samochody kursować po ulicach miasta.

W ten sposób wypowiedziano w Anglii wojnę koniowi. Będzie ona tam tem więcej zajmującą, że żaden może naród nie jest tak przywiązany do konia jak Anglicy. Walka też będzie zawzięta między uczuciem a zmysłem praktycznym, który Anglicy w wysokim posiadają stopniu. Zapał zaś, z jakim się do samochodów zabrali, każe się domyślać, że ulegnie w tej walce uczucie a zwolennicy samochodów widzą już wyraźnie w niedalekiej przyszłości chwilę, w której koń należeć będzie do tworów mitycznych.

Brandt w Orońsku. Tuż przy wielkiej szosie łączącej Warszawę z Krakowem, o 14 klm. od Radomia, leży Orońsk, majętność rodziny Pruszaków, a dziś rezydencya jednego z największych malarzy polskich. Jest to jedna z piękniejszych siedzib w kraju, której wybitne indywidualne piękno nadała przed laty pani Pruszakowa, świekra pani Brandtowej, osoba rozmiłowana ogromnie w sztukach pięknych. Dowody tego rozmiłowania rzucają się w oczy niemal na każdym kroku.

Przy samej szosie, dotykając jej prawie, rozpościera się ogromny park, do którego wjeżdża się bramą, której pilnują dwa dwulicowe Janusy, uśmiechające się do przyjeżdżającego a krzywiące się do odjeżdżającego. Pałac bardzo gustowny, ozdobiony jest licznemi biustami i figurami bogiń. W ogóle rzeźby tu dużo i to nie takiej rzeźby, jaką się u nas zwykle spotyka, ale rzeźby dobrej.

Apartamenta pałacowe zdradzają dobrobyt, nacechowany wydoskonalonym oddawna smakiem i poczuciem piękna. Obrazy, miniatury, bardzo piękne zegary i albumy zdobią mieszkanie. Nie ma w nim jednak obrazów samego Brandta. Z tych, co są, zasługują na uwagę, portrety obojga państwa Brandtów pendzla Czachórskiego, obydwa bardzo dobre, oraz wyborne stare płótno, przedstawiające Franciszkanina. Zresztą przeważają tu i owdzie cenne pejzaże Schouppego.

Opodal od pałacu znajduje się oranżerya. Środek jej stanowi pracownia Brandta, będąca od lat przybytkiem sztuki, bo dawniej w niej grywała na fortepianie pani Pruszakowa. A grała dobrze i stałymi jej gośćmi i wielbicielami bywali: Kania, Zarzycki i inni. Dziś Brandt tu maluje przez całych pięć miesięcy, od czerwca do końca października. Obecnie pracuje nad obrazem, przedstawiającym przeprawę kozaków przez rzekę.. Komuż nieznane te tematy, i ten koloryt, i te żywe konie, i ta nuta? Ale nie to dziś Brandta pochłania. Pochłania go obraz, który w trakcie malowania pozostawił w Monachium, przedstawiający wyjazd paradny z Wilanowa, o zmierzchu, w porze sanny, przy świetle pochodni. Będzie to arcydzieło mistrza, bo przywiązał się do tego przedmiotu wszystkiemi strunami swego artystycznego indywidualizmu.

U Brandta panuje wzorowy porządek. Czy on jest wyjątkową cechą artysty, czy zawdzięczać go należy pani Brandtowej? Sanie złocone z XVIII-go wieku stoją tu, zapełnione akcesoryami potrzebnemi mistrzowi do jego obrazów. Piętrzą się tu skóry borsucze, mundury, kapelusze i t. p. ciekawości, które odtworzono widzi się na każdem niemal płótnie Brandta.

W pracowni pierwsze miejsce zajmują świeżo przez Brandta nabyte liberye, pochodzące z XVIII wieku z dworu jakiegoś magnata litewskiego. Bo Brandt nic nie robi z pamięci. Gdy ma malować np. laufra lub giermka, to wpierw stara się o jego autentyczny z owej epoki ubiór. Ciekawe to jego muzeum kostyumów mieści się naturalnie w Monachium i tam pojadą liberye — ostatni wielce cieszący go nabytek.

Jeśliby jednak kto myślał, że Brandt w Orońsku przysiaduje fałdów — będzie w błędzie. Nie wytrzymałby długo w pracowni, bo bardzo lubi obrazy, ale bodaj, czy nie woli koni. A ma ich ogromne stado. Gdy zegnają je z pola w liczbie około 50 źrebców widzieć można, jak je zna wszystkie, jak one go wszystkie znają. Dziś podwaja starań i dogląda, bo dostał świeżo medal za konie na wystawie w Radomiu. Pałac, park, oranżerya z pracownią mistrza, stajnia, stado, to nie wszystko jeszcze!... Na krawędzi parku znajduje się kaplica-kościółek, a przy nim grobowiec dla tych, którzy mieszkali w tym dworze, ku któremu się też zwraca. Tę myśl zbudowania grobowca w pośrodku siedziby miała pani Pruszakowa. Piękna to myśl tryskająca z głębokiej miłości gniazda rodzinnego.

Statystyka wyprzedaży Jak wiadomo uregulowała z początkiem zeszłego roku uchwalona przez austryacką Radę państwa ustawa, sposób przeprowadzania wyprzedaży w zakładach handlowych i przemysłowych. Korzystając z tej sposobności postanowiło ministerstwo handlu w porozumieniu z ministerstwem spraw wewnętrznych zbierać daty odnoszące się do wyprzedaży w ciągu 1895 r. na podstawie podań wnoszonych do niego o zezwolenie na wyprzedaż, aby za pomocą tych dat przekonać się, jakie powody w największej mierze przyczyniają się do zwijania różnych przedsiębiorstw. Najwięcej podań wpłynęło w 1895 r. do ministeryum handlu z Czech, mianowicie 88, z Austryi Niższej 67, ze Styryi i Morawii po 20, z Austryi wyższej 15, z Galicyi 13, ze Szlązka i Tyrolu po 10, z Salzburga 8. Z Bukowiny i Dalmacyi nie było żadnego podania. W 65 wypadkach chodziło o zwinięcie sklepów konfekcyjnych i galanteryjnych, w 47 o zamknięcie interesów rękodzielniczych, 44 odnosiło się do wyprzedaży składów sukien, 12 zaś do sklepów zegarmistrzowskich, porcelany, szkła itp.

Co się tyczy motywów wyprzedaży w podaniach zawartych, zachodziło w 141 wypadkach zaprzestanie nadal handlu, w 68 przeniesienie interesu w inne miejsce, w 13 niepowodzenie, w 11 oddanie interesu innemu właścicielowi, w 10 śmierć właściciela firmy.

Zmarli. W Zaleszczykach Edmund Mierzwiński, emer. inspektor podatkowy. W Dolinianach Seweryn baron na Dolinianach Habdank Doliniański, żołnierz wojsk polskich z r. 1831, właściciel dóbr, były prezes Rady powiatowej gródeckiej, w 82 r. życia. — We Lwowie August Kubicki, urzędnik pocztowy. — Czesław Kozłowiecki, właściciel dóbr, w 54 roku życia.

Stan powietrza. T. o 9 rano — 3 R., w poł. + 2 R. Bar. 769. Nieruchomy. Pogoda.

Rozwiązanie szarady z nr. 260 *Przeglądu* brzmi: „Minerwa“. Trafne rozwiązanie nadesłali: Amalia Grünhaut z Sanoka, Semenec z Jaryczowa, Bronisława Gałkowa z Jarosławia, K. Andruszewski ze Smolina, Elżbieta Bielska i Antonina Dzieduszycka z Lipnik, zaś ze Lwowa: Olga Gawendówna, Helena Chrząszcz, Romanowa Witoszyńska, Maksymilian Jampoler.

Między malarzami.

— Jakże się panu podoba mój krajobraz?

— Przepyszny, jakby przezemnie malowany.

Wzajemna korzyść.

— Mój kochany, pożycz mi dziesięć guldenów.

— To wolę ci darować guldena, na tem obadwaj skorzystamy.

Bankier X do swego służącego, który zjawia się bez krawatu.

— Co znowu się zjawiasz nawpół nago? Niebawem ukażesz się zapewne odziany tylko jeszcze w dziurkę od koszuli!?

Okruchy myśli.

Organizm ludzki jest harfą o tysiącu strunach. Jakże dziwnem jest, iż harfa o tylu strunach tak długo strój utrzymać może.

Sztuka ma tę wyższość nad naturą, iż wprowadza pierwiastek ludzki pod pewnemi względami doskonalszy, niż przyroda.

Może być poetą, kto nie pisze wierszy, ale nie może nim być, kto pisze wiersze liche.

Żądz sławy jest najniewinniejszą słabością umysłów szlachetnych.

Repertuar teatralny. Dziś we wtorek po raz 1-szy „Czarodziej z nad Nilu“, opera komiczna w 3 aktach Henryka B. Smitha; muzyka Wiktora Herberta. Nowe kostyumy, nowe dekoracye. W Tarnopolu „Szczęście w zakątku“. We środę po raz drugi „Czarodziej z nad Nilu“. We czwartek po raz trzeci „Czarodziej z nad Nilu“. W Tarnopolu „Miłostki“. W Przemyślu „Rozwiedźmy się“ i „Dzieciaki“. W piątek po raz 1-szy „Mam prawo kochać“ (Das Recht zu lieben) sztuka w 4 aktach Maxa Nordau'a.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** „Łotrzyca“ p. Zalewskiego na drugie z rzędu przedstawienie zgromadziła dość liczną publiczność, która tak samo jak na pierwszem przedstawieniu powitała parę Feldmana w roli bankiera Szmettenkatza salwami oklasków. Powodem tej owacyi było to, że pan Feldman ucharakteryzował się łudząco podobnie do jednego z bardzo znanych, bardzo czynnych i zasłużonych bankierów lwowskich. Ośmieszanie bliźniego jest zawsze przyjemnem — tak bowiem ułomną jest nasza natura. Ale czyż to się godzi zdobywać poklaski nie przez artystyczną kreacyę, ale przez ośmieszanie człowieka, który z pewnością nic złego p. Feldmanowi nie zrobił i żadnego nie dał pretekstu do tak niewłaściwego kroku. Fizyonomia czyjaś jest tak samo osobistą własnością jak nazwisko, wyprowadzanie więc jej na pośmiewisko jest tak samo niewłaściwem, jak wystawianie na szykany czyjegoś nazwiska. Niewłaściwość ta okazała się nam tem większą, że popełnił ją artysta, który zawsze wysoko trzyma sztandar sztuki i należy do najzdolniejszych jej adeptów. Dla p. Feldmana mieliśmy dotąd zawsze tylko słowa szczerej pochwały, a z kilkudziesięciu postaci, które on odtworzył, nie było ani jednej, któraby przypominała drugą, tak bogatym w inwencyę, psychologiczne studya i rozmaite aktorskie środki i sposoby jest talent p. Feldmana. Czyż mu tym razem inwencyi zabrakło? Nie przypuszczamy, raczej sądzimy, że to było chwilowem zapomnieniem o wysokim celu sztuki, mimowolnym wybrykiem rozbawionego humoru, a może tylko suggestyą fryzyera teatralnego. Bo tak jesteśmy mocno przekonani, że talent p. Feldmana nie słabnie, i że jeszcze nam setki prześlicznych stworzy kreacyi, że ani na chwilę przypuścić nie chcemy, aby to naśladowanie osoby znanej i szanowanej we Lwowie było zapowiedzią dekadencyi talentu tego znakomitego artysty.

Przedstawienie wczorajsze wypadło zresztą bardzo dobrze, wystawa była bardzo piękną, w czwartym akcie nawet nadzwyczaj efektowną, a piękne ze smakiem dobrane produkcye antraktowe orkiestry teatralnej, nadzwyczaj się podobały zgromadzonej publiczności.

Głosy publiczności.

— **Pan Władysław Biliński** złożył 25 złr. na cele przytuliska Brata Alberta z prośbą o cichą modlitwę za spokój duszy swego świeżo zgasłego przyjaciela, ś. p. Wiktora Marszałkiewicza.

Bracia Tercyarze św. Franciszka.

Część ekonomiczna.

§ **Z kolei.** Z dniem 16 listopada 1896 otwiera się stacya „Linz miejsce przeładowania“ dla nadawania i odbierania towarów w ładugach całowozowych. Wozy przybywające na dworzec w Lincu odstawia się bez pośrednictwa adresata na miejsce przeładowania tylko wówczas, jeśli na listach przewozowych podano jako stacyę przeznaczenia „Linc miejsce przeładowania“.

§ **Targ na bydło.** Wiedeń 16 listopada. Na wczorajszy targ dostawiono 4296 wołów, w tem galicyjskich 197. Płacono galicyjskie 30 do 43 ct. za klgr. żywej wagi.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 17 listopada. (Z Izby posłów). W dalszym ciągu dyskusyi nad nagłym wnioskiem p. Wurmbranda w sprawie zaprowadzenia przymusowej asekuracyi od ognia przemawiali pp ks. Schleicher, Formanek, Wiedersperg, Wurmbrand, Noske, Swoboda i Gessmann, poczem dyskusyę przerwano i przystąpiono do rozpraw nad wnioskiem nagłym p. Pattaja w sprawie bezzwłocznego wypowiedzenia Węgrom ugody austro-węgierskiej. P. Pattai motywując swój wniosek nagły podniósł, iż naczelnego kierownictwa monarchią nie należy pozostawiać Węgrom, gdyż Austrya jest jądrem całej monarchii. Minister handlu Glanz zaznaczył z naciskiem, iż rząd wcale nie nosi się z zamiarem przedłużenia milcząco dzisiejszej ugody na dalszych dziesięć lat. (Oklaski) Izbie wiadomo, że rokowania z rządem węgierskim byłyby doprowadziły do zupełnego, zadowalniającego porozumienia się w sprawie nowej ugody, ale wskutek rozmaitych okoliczności i rozwiązania sejmu węgierskiego, nie mogła ustawodawczo ratyfikacya nowej ugody nastąpić przed terminem jej wypowiedzenia. Ta okoliczność nie jest rządowi przyjemną, w żaden atoli sposób w niczem nie narusza zasadniczego stanowiska rządu. W końcu oświadcza minister, iż wprowadzenie ugody nastąpi w terminie przed upływem bieżącego roku. (Oklaski).

P. Hallwich oświadczył się również za wypowiedzeniem dzisiejszej ugody, ale zauważył, iż utrzymanie ugody z Węgrami na polu handlu i ceł jest jednym z najważniejszych warunków egzystencyi monarchii. P. Kramarz protestuje przeciw wywodom dzienników węgierskich o stosunkach w Austryi (notatkę o tych głosach podaliśmy we wczorajszym numerze *F. R.*) i z radością wita enuncyacyę rządu węgierskiego, który oświadczył, iż z artykułami tymi nie ma nic wspólnego. W Austryi zmieniły się w ostatnich czasach stosunki polityczne i Węgry z dokonanym tym faktem liczyć się powinny.

P. Peschka przemawia za wypowiedzeniem ugody, która w takim stanie, jak dzisiejszy, przynosi tylko szkodę austryackiemu rolnictwu. P. Richter przemawiał za nagłością wniosku i ostro wystąpił przeciw mięszaniu się Węgrów w wewnętrzne sprawy Austryi. P. Laginja przemawiał również za nagłością, ale oświadczył się za tem, aby rząd jak najrychlej odnowił ugodę na nowych, dla Austryi pomyślniejszych, niż dotychczasowe, warunkach. Na wniosek p. Schultza zamknięto dyskusyę, poczem zabrał głos p. Lueger i w gwałtownej mowie wystąpił przeciw Węgrom. Zaznaczył, iż ze strony węgierskiej wyszły w ostatnich czasach liczne prowokacye i napaści na rządy w Austryi, szczególnie ze strony *Nemzetu* dziennika rządowego. Zapewnieniom prezydenta gabinetu węgierskiego min. Banffy'ego, iż on nic o tym artykule prowokacyjnym *Nemzeta* nie wiedział, mówca nie wierzy, zresztą jest to wszystko jedno, ze względu na fakt, że *Nemzet* jest organem rządu i że każdy głos jego uchodzi za odbicie myśli rządu. Dalej podniósł, iż w Austryi powszechnie potępiono fakt wysłania wojsk austryackich na Węgry podczas wyborów. Nowy sejm węgierski nie jest wyrazem ogólnej opinii kraju, gdyż wybory przyszły do skutku po użyciu niebywałych gwałtów. Ani jeden Serb, Chorwat, Rumun, Słowak lub Rusin nie wszedł do izby; nie wszedł też żaden Niemiec. Nie zwyciężyli też Madjarzy, lecz wyłącznie żydzi. Odnowienie ugody leży głównie w interesie Węgier; jeżeli zgodzimy się na dalsze zawarcie ugody, zrobimy to jedynie dla miłości Monarchy i państwa. W końcu zauważył p. Lueger, iż wszystkie zarzuty, jakie podniósł w swej mowie, nie odnoszą się do narodu węgierskiego, lecz tylko do rządzącej Węgrami kliki. (Oklaski). Nagłość wniosku uchwalono prawie jednogłośnie.

P. Pattai wnosi następnie, aby izba przystąpiła nad wnioskiem jego do rozprawy szczegółowej. Prezydent gabinetu hr. Badeni zabrawszy głos oświadczył, że bardzo ubolewa nad tem, iż uderzono tu w sposób gwałtowny na zaprzyjaźnione, z Austryą ściśle złączone państwo węgierskie. Mówca musi te wszystkie zarzuty odeprzeć i ostrzedz wszystkich przed niebezpieczną grą z czcią i znaczeniem Węgier. W sprawie napaści dzienników węgierskich na rząd austryacki minister przekonał się, że ów artykuł w *Nemzecie* pojawił się bez wiedzy i przeciw woli rządu węgierskiego. Mówca musi z uznaniem podnieść lojalne zachowanie się węgierskich ministrów podczas rokowań w sprawie ugody (oklaski). Wniosek p. Pattaja przyjęto.

Berlin 17 listopada. Ponieważ na wczorajszem posiedzeniu rząd miał dać odpowiedź na interpelacyę centrum w sprawie rewelacyj Bismarka o tajnym traktacie rosyjsko-niemieckim, ogólne zainteresowanie było bardzo wielkie. Galerye były nabite publicznością, również były pełne loże dyplomatów, wśród których znajdował się także ambasador austryacki w Berlinie p. Szoegyeny. Syn Bismarka hr. Herbert Bismark jest obecny wśród posłów.

Kanclerz rzeszy Hohenlohe, odpowiadając na interpelacyę centrum, zaznaczył, iż wszelkie szczegóły o rokowaniach między Rosyą a Niemcami musi zachować w tajemnicy, gdyż podczas rokowań tych tajemnica obopólnie była omówioną, i dlatego też mowca w żaden sposób nie może udzielić o ich wyniku jakiegoś urzędowego wyjaśnienia. Kiedy obowiązek tajemnicy ustanie, mowca powiedzieć nie może, gdyż to nie zależy tylko od jednej strony, lecz musi być postanowionem przez obie te strony, które ugodę zawierały, to jednak może mówca podnieść, iż od roku 1890 w stosunku między Rosyą a Niemcami nie zaszła żadna zmiana na gorsze. W dalszym ciągu odpiera ks. Hohenlohe pogłoski, jakoby na politykę Niemiec wywierały kiedykolwiek nacisk jakieś wpływy angielskie, lub wogóle zewnętrzne. Pogłoski te są zupełnie nieuzasadnione. Z radością mowca podniósł, iż pewna nieufność, która wskutek rewelacyj Bismarka zapanowała początkowo między sprzymierzonymi ludami, dziś już zupełnie zniknęła. W końcu zapewnił, iż wszystkie mocarstwa biorące udział w trójprzymierzu żywią dla siebie niczem niezachwianą, wzajemną ufność, a stosunki Niemiec z Rosyą nie przestały nigdy ani na chwilę być jak najlepszymi i najprzyjaźniejszymi. (Oklaski).

Sekretarz stanu p. Marschall z oburzeniem odpiera zarzut, jakoby Niemcy kiedykolwiek zawierały z jakiemś państwem takie traktaty, któreby nie były w harmonii z istniejącem trójprzymierzem. Wykazuje, iż bezpieczeństwo i gwarancye pokoju od r. 1890 wcale się nie zmieniły, uznaje niespożyte zasługi Bismarka około utrzymania dobrych stosunków z Rosyą, które opierają się na trwałych podstawach, a mianowicie na tradycyjnej przyjaźni obu monarchów, oraz na wspólności bardzo wielu interesów.

W dalszym ciągu podnosi mówca, iż nieprawdziwem jest twierdzenie, jakoby Rosya zbliżyła się do Francyi dopiero po r. 1890, tj. wtedy, gdy traktatu niemiecko-rosyjskiego nie odnowiono. Bliższe stosunki między Rosyą a Francyą rozpoczęły się jeszcze w latach siedemdziesiątych. Z naciskiem podniósł p. Marschall, iż polityka Niemiec zasadza się na wiernem i niewzruszonem utrzymywaniu przymierza z Austro-Węgrami i Włochami, na pielęgnowaniu przyjacielskich stosunków z innemi mocarstwami i na gotowości położenia w każdej chwili swej siły wojennej na wagę w celu utrzymania pokoju (burzliwe oklaski).

W dyskusyi kilku mówców podnosiło, iż tajny traktat niemiecko-rosyjski nie zupełnie odpowiada przepisom traktatu trójprzymierzowego. Dep. Richter nazwał rewelacye Bismarka niesłychanem nadużyciem zaufania, inni mówcy podnosili, iż Niemcy, mimo trójprzymierza, miały prawo zawrzeć osobny traktat z Rosyą, i że Bismark swemi wynurzeniami chciał tylko Niemcom wyświadczyć wielką przysługę. P. Liebknecht w gwałtowny sposób uderzył na politykę Bismarka. Hr. Herbert Bismark zabrawszy głos w kwestyi osobistej, oświadczył, iż nie widzi potrzeby wygłoszenia tu mowy, gdyż wobec oświadczenia kanclerza, iż wszelkie szczegóły traktatu są tajne, usunięto dla dyskusyi realną podstawę. Wzgląd na takt nie pozwolił mu zabrać głosu. Głosowania nie było nad tą sprawą żadnego.

Sofia 17 listopada. Obiega tu pogłoska, iż minister wojny Petrow ponownie podał się do dymisyi. Wobec zbliżających się wyborów do sobrania, wszyscy ubolewają nad tym krokiem Petrowa, jednak spodziewają się, iż Stoiłowowi uda się znów przesilenie to zażegnać. Petrow obstaje przy dymisyi.

Rzym 17 listopada. Cesarz Wilhelm przesłał telegraficznie Rudiniemu życzenia z powodu zawarcia pokoju z Abisynią. Niemiecki sekretarz stanu Marschall i francuski minister spraw zewnętrznych Hanotaux złożyli życzenia królowi włoskiemu za pośrednictwem niemieckiego i francuskiego ambasadorów przy dworze włoskim. Menelik doniósł telegraficznie prezydentowi Francyi Faure'owi o zawarciu pokoju. Faure również telegraficznie podziękował za udzielenie mu tej wiadomości, która go napełniła radością.

Filipopol 17 listopada. Według doniesień z Konstantynopola znaleziono w Kanei na Krecie plakaty wzywające mahometan do wojny świętej z chrześcijanami.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 16 listopada. JO. ks. Czetwertyńska z Rosyi. Dr. Wł. Czaykowski z Przemyśla. St. Makowski z Królestwa. St. Olszewski z Warszawy. T. Pawłowski z Styryi. Dr. Iritz z Odessy. F. Wszeteczka z Wadowic. W. Lange z Hamburga. De Scheibenhof z Mostów. D. Udrycki z Mostów. K. Paprocki z Królestwa. J. Hizner z Wiednia.

Nadesłane.

Lwów dnia 17 listopada (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216.— do 219.—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 285.— do 289.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 384 — do 394.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. gal. 5 proc. los. w 40 lat 5 proc. a 10 proc. prem. 110.10 do 110.80, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 99.30 do 100.5 4 proc. los w 60 lat 96.70 do 97.40. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.40 do 101.10. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los w 42 i pół latach 97.60 do 98.30, 4 proc. los. w 56 lat 97.40 do 98.10.

Oblig. za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97.20 do 97.90. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.50 do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.— do 102.70. Pożyczki kraj. 6 proc. 106.— do —.—, 4 i pół proc. —.— do —.—, 4 proc. z r. 1891 97.— do 97.70, 4 proc. po 200 koron z roku 1893 97.— do 97.70.

Monety. Dukat cesarski 5.63 do 5.73. Napoleondor 9.50 do 9.60. Półimperyał 9.60 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.27 do 1.28. 100 marek niemieckich 58.60 do 59.—

Wiedeń 15 listopada. Notowania wieczorne. Kredyty 364·12, węgierskie kredyty 401·00, anglobank 153·25, bankverein 255·50, unionbank 290·50, länderbank 246·25, staatsbahny 356·25, lombardy 100·—, elbethale 273·50, akcye tytoniowe 153·50, rima 236.—, alpiny 84·30, renta majowa 101.35, węg. renta koronna 99·30, losy tureckie 49·40, marki 58·82, ruble 128·—.

RUCH POCIĄGÓW KOLEJOWYCH

obowiązujący z dniem 1 maja 1896 (czas środk.-europejski)

Do Lwowa przychodzą:	Pociągi: pośpieszne			osobowe			
Z Berlina	5.10	1.30		8.55	6.55	9.30	
Z Krakowa, Wiednia i Wrocławia	5.10	1.30	8.45	8.55	6.55	9.30	
Z Warszawy	5.10			8.55		9.30	
Mezany d. przez Tarnów							
Z Rozwadowa i Nadbrzezia przez Dembicę	—						
Chabówki przez Tarnów	5.10	1.30			6.55		
Z Chabówki przez Rzeszów	5.10	1.30					
Z Chabówki przez Przemyśl	—	1.30		8.55			
Z Rawy ruskiej przez Jarosław	—	1.30	8.45			9.30	
Z Krosna, Iwonicza, Rymanowa, Sanoka przez Przemyśl	—	1.30	8.45	8.55		9.30	
Z Mezo-Laborcz i Pesztu przez Przemyśl	—		8.45	8.55		9.30	
Z Ławocznego, Pesztu, Miskolcza, Munkacza	—			8.00			
Z Stanisławowa przez Stryj	—			8.00	1.51		12·10
Z Chyrowa przez Stryj	—			8.00	1.51	10.10	12·10
Z Suczawy, Husiatyna, Körösmezö, Słobody rungurs., Berhometu, Czudyna, Radowiec, Kimpolungu, Bukaresztu i Jass	—		9.55				
Z Suczawy, Czortkowa, Körösmezö, Kałusza, Sopowa, Bukaresztu i Jass	—				2·01		
Z Suczawy, Radowiec, Berhometu i Czudyna każd. poniedziałku), Peczeniżyna	—					6.12	
Z Suczawy Husiatyna, Kałusza, Nowosielicy, Czudyna każdego poniedziałku Radowiec, Kimpolungu, Bukaresztu i Jass	—			7.23			
Z Sokala i Jarosławia przez Rawę ruską	—			8.15		5.45	
Z Bełzca	—					5.45	
Z Podwołoczysk i Brodów na dw. Podzamcze	—	2·25	9.50	7·46	4·55		
Z Podwołoczysk i Brodów na dworz. główny	—	2.40	10.05	8.07	5·20		
Z Janowa	—			7.50	1·35	8.00	
Ze Lwowa odchodzą do:							
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina	8.40	2.50	11.00	4.40	9.55	6.45	
Warszawy	8.40		11.00	4.40		6.45	
Rozwadowa i Nadbrzezia	8.40		11.00	4.40			
Chabówki przez Tarnów	—		11.00				
Chabówki przez Rzeszów			11.00				
Chabówki prz. Przemyśl					9.55		
Rawy r. przez Jarosław	—				9.55	6.45	
Chyrowa, Sanoka, Iwonicza, Rymanowa przez Przemyśl	—	2.50		4.40			
Mezö-Laborcz i Pesztu przez Przemyśl	—			4.40	9.55	6.45	
Ławocznego, Munkacza, Miskolcza, Pesztu prz. Stryj				4.40		6.45	
Stanisławowa i Chyrowa przez Stryj				5.22		7.22	
Chyrowa przez Stryj					9.35	7.22	
Suczawy, Jass, Bukaresztu, Husiatyna, Körösmezö, Kołomyi nad przedm., Berhometu, Czudyna, Radowiec, Kimpolunga	—			5.22			7·22
Suczawy, Peczeniżyna, Czudyna i Berhometu każd. poniedz. Radow.	6.10						
Suczawy, Jass, Bukar., Czortkowa, Kałusza, Körösmezö, Kimpol.	—				10.25		
Suczawy, Jass, Bukar., Husiatyna, Kałusza, Peczeniżyna, Nowosielicy, Radowiec	—				2.45		
Sokala i Jarosławia przez Rawę ruską	—			9.15		7.05	
Bełzca	—			9.15			
Podw. i Brodów z Podz.	6·08	2·19		9.48			
Podw. i Brodów z gł. dw.	5·55	2·11		9.30			10.45
Janowa					9.05	2.00	7.50

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych. Czas środkowo europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut. Godz. 12 czasu środkowo europejski = godz. 12·36 zegara podług lwowskiego.

23)

POWRÓT

przez

Th. BENTZONA.

(Ciąg dalszy).

Ale zkąd pewność, że zawsze tak będzie? Zatrute powietrze i najsilniejsze zdrowie zdoła podkopać; jest to pewnik, stosujący się zarówno do ciała, jak i do duszy. Regina była otoczona złem, ukazującem się pod najrozmaitszą formą: światowo-wykwintną i wyuzdanecyniczną; chcąc nie chcąc, musiała je widzieć, a patrząc ciągle, czyż nie mogła się z niem oswoić, pozbyć wrodzonej do brudu odrazy, a w końcu nawet i usprawiedliwić ohydę?

Ci nawet, co podziwiali jej siłę w walce z zepsuciem, byli przekonani, że wcześniej czy później upaść musi; jeśliby zaś istotnie ominęła kałużę, do której ją wszystko popychało, to, mówił niejeden, ruszając ramionami:

— Po co te wysiłki? co jej z tego przyjdzie?

Biedny Stefan, wpatrując się całemi godzinami w portret Reginy, odczuwał magnetycznie wszystkie te ubliżające jej powątpiewania, sceptyczne uwagi, niskie zabiegi, zagrażające niewinności jego ubóstwianej. Zdawało mu się teraz, że na tem czole, na którem inni widzieli świecącą gwiazdę geniuszu, on widzi jakiś cień, jakąś plamę, której nic zetrzeć nie zdoła.

Wkrótce ta plama, wylęgła w jego niespokojnej wyobraźni, rozszerzyła się tak bardzo, że nic, prócz niej, nie widział; uzbroiwszy się w odwagę, prosił Cecylii, żeby wyniosła portret z tego kącika, który ona nazywała siedliskiem duchów, i ukryła go nazawsze przed jego wzrokiem. Zbyt długo już karmił się zawodnemi nadziejami, nie mającemi się nigdy urzeczywistnić; czas złudzeń i słabości minął.

— Masz słuszność; wystarczymy sobie oboje — rzekła Cecylia.

Ze smutnym uśmiechem podał jej rękę którą zatrzymała w swej dłoni, i długo brat z siostrą, stojąc obok siebie przed kominkiem, wpatrywali się w milczeniu w płomienie żywo palącego się ognia. Ileżto niemych zwierzeń jest ogień powiernikiem, a ilu wzruszeń, walk i cierpień świadkiem!

Po raz pierwszy tej jesieni palił się w Souvray i był niejako zwiastunem otwarcia teatrów w Paryżu. Widocznie Stefan nie z wielką uwagą musiał czytać tego dnia dzienniki, kiedy mógł przeoczyć następujący artykuł:

„Teatr Włoski obiecuje nam nową śpiewaczkę, o której cuda rozpowiadają. Panna Christen jest Francuską, jakkolwiek kształciła się we Włoszech, gdzie wkrótce zajaśniała sławą, do której i Londyn przeszłej wiosny dorzucił swe wawrzyny. Teatr w Covent-Garden chciał ją zatrzymać; ale zrozumiała, że prawdziwe wieńce sławy zbiera się tylko w Paryżu."

Tak więc, w chwili kiedy Stefan zdobył się na odwagę i usuwał nawet wizerunek tej, którą chciał zapomnieć, los sprowadzał mu ją samę, do drzwi prawie.

— Czy jesteś pewny, że Regina pozostaje dotąd we Włoszech? — rzekła do niego Cecylia w kilka dni potem.

— Dla czego mnie oto pytasz? — odrzekł Stefan, zadrżawszy.

— Dla tego, że byłam dziś na omentarzu, jak to zwykle robię raz na tydzień, i zastałam na grobie nieboszczki Christen ogromny wieniec z fijołków, który nie ztąd pochodzi.

— To niczego nie dowodzi. Mógł być przysłanym.

— A przytem, — dodała Cecylia po pewnem wahaniu, — matka Bourré, chociaż wiem, że nie wszystkiemu można wierzyć, co plecie ta gaduła... otóż matka Bourré utrzymuje, że kiedy żęła trawę na omentarzu, weszła przez bramę jakaś piękna pani, ubrana w aksamit, i jedwab, osłoniona gęstą woalką, i poszła prosto na grób zmarłej Christen. Matka Bourré, powodowana ciekawością, chcąc się jej zblizka przypatrzeć, przeszła tuż koło niej; ale owa pani płakała, mając twarz ukrytą w chustce. Powóz stał na gościńcu.

— I to wszystko?... — przerwał Stefan na pozór spokojnie.

— Czekaj jeszcze! Powóz przejechał przez wioskę, i kilka osób mi mówiło, że się zatrzymał przed dawnym domkiem Christenów. Pani, siedząca w powozie, wypytywała małego Szymona, kto obecnie zamieszkuje domek i kto kazał ściąć owę ogromną lipę na terasie. Pamiętasz, jak Regina lubiła tę lipę?.. Chciałam się dowiedzieć, czy ta pani nie była podobna do panny Christen, lecz Szymon wykrzyknął.. „Ale gdzież tam, daleko piękniejsza, cała w atłasach!" Nic dziwnego jeśliby jej nie poznał; był jeszcze bardzo mały, gdy Regina wyjechała; zresztą wieśniacy nie tyle na rysy twarzy, ile na suknie patrzą.

Nazajutrz po południu Stefan pojechał do Paryża.

— Tak — rzekł, wróciwszy — to musiała być ona. Jej występy już są ogłoszone.

I tego wieczoru także, gdy oboje siedzieli przed kominkiem, żadne z nich nie miało ochoty przerwać milczenia — słychać tylko było wesoły trzask ognia.

Imię, które mieli ciągle na myśli, nie postało na ich ustach; wywołał je dopiero Fryderyk Buisson. Jednego dnia wpadł do Souvray, jak uragan, w porze obiadowej.

— Ah! — zawołał bez żadnych wstępów — co za „Rozyna!" Olśniewająca, nieporównana... Zakochałem się w niej do szaleństwa..., wszyscy się w Christen kochają... i ty to samo zrobisz — dodał, zwracając się do Stefana — nie tak, jak dawniej...

Cecylia spojrzała na niego surowo — ...ale tak, jak się ją powinno kochać..., bez żadnej samolubnej myśli wyłącznego posiadania..., zostawiając ten skarb dla całego świata..., bo tylko uwielbienie całego świata może godnie wynagrodzić rozkosz, jaką ona sprawia. W Anglii porównywano ją z Jenny Lind. I to nasza Regina! nasza mała Reginka! Nie mogłem jej poznać, gdy się na scenie ukazała..., taka się robi piękna, śpiewając!...

Fryderyk swoim fałszywym głosem zaczął z przesadnemi giestami nucić ustępy z „Cyrulika".

— O! jakżeżbym ją pragnęła zobaczyć! — zawołała żywo Cecylia. — Czy nie mogłeś się do niej zbliżyć, panie Fryderyku? czy nie mogłeś z nią mówić?

— W teatrze, nie..., diva jest nieprzystępna. Rano dopiero poszedłem do niej, i z drugiego już pokoju usłyszałem radośny okrzyk, jaki wydała, czytając moją kartę, którą jej przez pokojowę posłałem. Nie zapomniała o swoich dawnych przyjaciołach. Natychmiast mnie przyjęła, i natychmiast o was pytała; zdawało się, żeśmy się dopiero wczoraj rozstali, taką była uprzejmą, serdeczną; przypominała mi najdrobniejsze szczegóły z czasów naszej dawnej znajomości. Wśród takich powodzeń i tryumfów, pozostać wierną wspomnieniom przeszłości, zachować całą dawną prostotę, czyż to nie cud prawdziwy?...

— Gdzie mieszka? — spytała Cecylia ciekawie. — Opisz mi pan jej mieszkanie, tylko ze wszystkimi szczegółami.

— Mieszka na Polach Elizejskich; bardzo wykwintnie, ramy odpowiadają obrazowi, równie wdzięczne, jak i ona; bo trzeba wam wiedzieć, że Regina jest uosobieniem wdzięku, okraszonego jeszcze wymowną dobrocią. Wyobraźcie sobie, kupiła jeden z moich obrazów! „Pragnęłam go posiadać — rzekła do mnie — ze względu na wspomnienie, jakie we mnie budzi: wzgórze d'Aspremont, naszą dawną zażyłość, moją pierwszą młodość, całą wiosnę życia, która już nigdy nie wróci. A zresztą obraz ten malowany jest z wielkim talentem!"

— Widać, że ma smak wyrobiony — rzekła Cecylia z przekonaniem. — Czy naprawdę mówiła o mnie?

— Jako o swojej najlepszej przyjaciółce. Nie przestawała także mówić o pani bracie, wypytując o wszystko, co się go tylko tyczy, jak gdyby zasługiwał na tyle zajęcia — dodał Fryderyk, zniecierpliwiony upartem milczeniem Stefana.

— A co się dzieje z misses Harris?... — Czy utrzymuje z niemi stosunki — przerwała Cecylia.

— Tak — mówiła mi o nich. — Miss Gracya jest teraz mistress Frank Stevens i matką rodziny. Wspominałem jej, że pani de Cerdon od chwili wyjścia za mąż nie zna nas wcale. Widocznie za wielka dama!... Usłyszawszy to, Regina zaczęła jej żarliwie bronić, utrzymując, że nie może robić tego, coby chciała, gdyż ją mąż tyranizuje. Robi coś gorszego jeszcze! Cały świat przecież wie o tem, że oddawna już rozpoczął na nowo kawalerskie życie, tem wesel ze, że podtrzymywane amerykańskimi dolarami. Spotykam go w miejscach, nieodznaczających się wcale dobrem towarzystwem.

— Biedna Lily! — westchnęła Cecylia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Masłowski

Papier z fabryki Kijalkowskich w Białej.

Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka (Hotel Żorża.) Zarządca W. Hodes.